Nr. 49. Warszawa, dnia 22 Listopada (4 Grudnia) 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Redakcyi.

Zapraszając abonentów **Prawdy** *do przedpłaty na rok przyszły, jak zwykle, nie obiecujemy im żadnej nowej chorągiewki, ani też zwrotnicy, któraby przesunęła pismo nasze na tor odmienny od poprzedniego. To bowiem właśnie uważamy za główne nasze zadanie i ważną zasługę, że pozostajemy ciągle wierni tym zasadom, które odrazu weszły w fundament* **Prawdy** *i na których ona ciągle się opiera. Wskazywanie dróg pracy rozwojowej, potęgującej siły duchowe społeczeństwa i pomnażającej jego dobrobyt; swoboda badań naukowych i niezależność krytyki; zaznajamianie czytelników z wszelkimi objawami życia, postępami wiedzy i twórczości artystycznej, mającymi trwałe znaczenie i wpływ na cywilizacyę ogólną i polską — oto są główne kierunki usiłowań naszych, w których okazaliśmy może więcej dobrych chęci, niż czynów, ale których nie opuściliśmy ani na chwilę. „In magnis voluisse sat est.“*

W przyszłym kwartale ukończymy wychodzące jako dodatek bezpłatny dzieło Dallemagne'a „Człowiek zwyrodniały.“ Ażeby nowym abonentom ułatwić nabycie jego początku, zniżamy cenę pierwszych zeszytów tego dzieła z 2 rs. 10 kop. na 1 rs. Nadto pragnącym posiadać książkowe dodatki z lat poprzednich oraz wydawnictwa nasze, redukujemy ich cenę do 15 stycznia 1898 r. dla prenumeratorów **Prawdy** *podług poniższego wykazu:*

L. H. Morgan: Społeczeństwo pierwotne, 1 rs. 50 k. (zamiast 3 rs.).
K. Lewald: Historya XIX w., 1 rs. 65 k. (zamiast 3 rs. 30 k.).
R. Falckenberg: Historya filozofii nowożytnej, 1 rs. 20 k. (zam. 2 rs. 40 k.).
Huxley - Rosenthal: Zasady fizyologii, 1 rs. (zamiast 2 rs.).
H. Posnett: Literatura porównawcza, 1 rs. (zamiast 2 rs.).
L. Wolberg: Psychologia dziecka, 1 rs. (zamiast 2 rs.).
Encyklopedya dla dzieci, 75 k. (zamiast 1 rs. 50 k.).
Na koszta przesyłki dołączyć należy do każdego rubla 15 kop.

POLITYKA.

„COSAS“ WIEDEŃSKIE.

Już niema p. Badeniego. Cesarz uległ nareszcie jego prośbie i d. 28 z. m. uwolnił go z gorącego kamienia. Na nic się nie przydał rycerski pojedynek w końcu września: honor swoją drogą, a polityka swoją. Karczma niemiecka w Izbie deputowanych ofiary z Badeniego pożądała i ofiarę tę ma. Pod całą tą ulicznikowską kampanią niemieckiego egoizmu przeciwko zdrowemu rozsądkowi, godności i parlamentaryzmowi — wrzała nienawiść do sprawcy rozporządzeń językowych; gdyby je nawet był cofnął, jeszczeby się nie ustatkowali: po trupie jego przejść koniecznie musieli. Teraz, gdy go już złamali, powalili, jako męża politycznego zabili, prostem odwołaniem rozporządzeń językowych już się nie zadowolą. Egoizm jak zwierzę jest tem silniejszy, im więcej pożera. Upadek p. Badeniego nie rozwiązuje piekielnie zadzierzgniętego węzła przeciwieństw narodowych i stronniczych. Gdyby nawet Niemcy mieli dać Austryi chwilę wypoczynku po odwołaniu przez nowych ministrów lub samego cesarza owych wyklinanych rozporządzeń, energia w tym celu wytężona wydałaby płód martwy: wojna nie ustałaby w Izbie, obstrukcyonizm tylko przeniósłby się z lewej strony na prawą, Niemców zastąpiliby Czesi. Odwołanie rozporządzeń dla skuteczności swej potrzebuje nierozerwalnego związku z ogólnem prawodawczem urządzeniem stosunków między obiema narodowościami w Czechach.

Do takiej pracy zasadniczej ani jedna, ani druga strona nie znajdzie w sobie do-

brej woli: Niemcy nie zechcą słyszeć o oddaniu całej sprawy sejmowi praskiemu, Czesi znowu nie pozwolą wytoczyć jej w Izbie wiedeńskiej. Po za tą formalną niechęcią kryje się głębsza, samej treści układu dotycząca: Niemcy chcą być panami nietylko Czech, ale i całej Przedlitawii; Czesi dążeniami swemi sięgają daleko za obręb dzisiejszej konstytucyi. Pierwsi są dziś bardziej jeszcze centralistami, niż za Schmerlingów i Auerspergów; drudzy nie zapomną nigdy ani o swej koronie ś-go Wacława, ani o hohenwartowskich *Fundamental Artikeln*, które w r. 1871 mieli już jakby czarę przy ustach. Dążenia obu stron są wręcz sobie przeciwne: korzyść jednej jest krzywdą drugiej, a poddanie się obu pod wspólne prawo obowiązku, zbudzenie w sobie zachowawczego instynktu, nakazującego pogodzić się i dla własnego dobra i dla zachowania całości — niedościgłem tylko marzeniem dzisiaj być może. Ani jedna, ani druga masa narodowa nie ciąży naturalnie do Austryi, nie stara się swego środka ciężkości zamknąć w jej granicach. Niemcy od r. 1871 shardzieli; wielka ojczyzna niemiecka ich czaruje; serca ich lgną nie ku tej Austryi nienawistnymi Słowianami wypełnionej, ale ku potężnemu mocarstwu, które rozum, wola i krew niemiecka wśród gromów walących we Francyę zbudowały. Duch skupiający narodowości nie mógł nie powiać i na nich. Słyszeliśmy właśnie jak wieje. *Wacht am Rhein*, *Hoch Alldeutschland*, śpiewane w Wiedniu — to jawny przeciwko Austryi bunt.

Ruch odśrodkowy Czechów nie jest tak silnym, jak ciążenie Niemców, zwłaszcza czeskich, do Berlina. Od kilku lat, pomimo całej opozycyi, którą na dobre dopiero p. Badeni zażegnał już w roku bieżącym, dawniejsze rwanie się ku północy z każdym rokiem słabło. Czesi, gdyby im tylko cesarz zwrócił koronę św. Wacława, ostatecznie by się uspokoili, uznaliby życie w Austryi, nietylko za konieczne, ale i za dobre; poprzestaliby nawet na federalizmie bez korony; na teraz zadowoliłby ich nawet taki porządek, jaki ego spodziewać się mogli za rządów p. Badeniego. Niech ich tylko widmo przewagi niemieckiej nie straszy, niech federalizm przez powolne zbliżanie się nadzieję w sercach ich rozbudza, a będą umieli żyć spokojnie i bez swej historycznej korony. Inaczej z Niemcami: dla nich jedynym równoważnikiem ojczyzny niemieckiej może być tylko przewaga niemiecka, Przedlitawia niemiecka, polityka monarchii jako całości niemiecka. Dążność do zniemczenia wszystkich narodowości przedlitawskich, centralizm posunięty do ostatecznych krańców — byłyby tylko kwestyą czasu, gdyby dzisiejsi Niemcy austryaccy dorwali się do steru. Uspokoić ich można tylko przez zburzenie konstytucyi 1867 r. i wydanie im na pastwę wszystkich innych narodowości. W ekwilibrystykę Taaffego żaden już następca p. Badeniego nie będzie się mógł zabawiać. Urzędnicze ministerya są głupstwem. Nie można już wisieć między niebem a ziemią; trzeba stanąć na jakimś twardym gruncie — niemieckim lub słowiańskim. Centralizm lub federalizm — innego hasła niema.

Przewaga liczebna narodowości słowiańskich jest tak wielką, że do powalenia hydry niemieckiej wystarczy im tylko silna wola. Niechby tylko Czechy, Morawy i Galicya zażądały organizacyi federalistycznej, ale zażądały tak, jak umieją żądać Niemcy — nieby się im nie oparło. Ale taką wolę z siebie wydobyć nie każdy może; dotknięci chroniczną niemocą — mają też i wolę sparaliżowaną. Sam cesarz może ułatwić zadanie przez zrozumienie tego, jaka przyszłość czeka jego następców, jeśli społeczeństwa przeciwniemieckie pójdą pod ster wyłącznie niemiecki. Jak to już nieraz na tem miejscu mówiono, federalizm jest jedyną formą istnienia Austryi. Mając wojsko, skarb i sprawy zewnętrzne wspólne z Węgrami i przez to samo już z pod organizacyi federalistycznej wyjęte — monarchia habsburska nie potrzebowałaby się lękać ani Niemców, ani Słowian, i ich odśrodkowego ruchu. Jest tylko jedna wątpliwość: czyby cesarstwo niemieckie na taką organizacyę pozwoliło? Czyby jej nie wzbroniło raczej, raz jako sprzymierzeniec Austryi, powtóre jako orędownik i obrońca narodowości niemieckiej? Kto wie, jakie dziś już zamysły kiełkują w głowie cesarza Wilhelma i w głowach patryotów wielko-niemieckich i jakie nowe przymierza przebłyskują na widnokręgu Europy?

Tydzień polityczny. W Przedlitawii zmiana w rządzie. Fr. Józef rozstał się z p. Badenim, dziękując mu gorąco za służbę gorliwą, za znojną nawet żarliwość, uległość i przywiązanie do tronu. Stało się to w niedzielę d. 28 z. m. w południe. Przed południem jeszcze cesarz odroczył na czas nieograniczony posiedzenie Izby deputowanych, dymisya traciła przeto ostrość, jaką jej nadawały same okoliczności, ale niemniej prawdą jest, że p. Badeni ustąpił przed ulicznikami niemieckimi w Izbie. To, co się w niej działo od środy do soboty, przyćmiewa wszelkie podobne sceny w dziejach nowożytnych. Nieszczęsna myśl p. Abrahamowicza, przyodziana przez p. Falkenhayna we wniosek, przeciwników politycznych zamieniła już na osobistych wrogów prezesa Izby, a że wrogowie byli rozpasani, musiała więc walka namiętności politycznej przybrać postać zbójeckiej napaści. Ów wniosek, przyjęty przez większość, upoważnił prezesa do wydalania zakłócających spokój Izby za pomocą siły zbrojnej, tj. odpowiednio ugarnirowanej zwykłej policyi, własnej bowiem gwardyi sejm przedlitawski nie posiada. Nie kuje się takich praw na gorąco; mają one zawsze na sobie piętno środków prześladowczych i żadne uchwały większości tego piętna zmyć z nich nie zdołają. Samo oznaczenie tej większości jest bardzo trudne, a w tym wypadku proste powstanie z miejsc na znak głosowania było nawet nieprzyzwoitem. P. Abrahamowicz nie świetnie zdał egzamin z umiejętności sejmowania. Powinien teraz dobrowolnie ustąpić, jeśli nie chce być niedobrowolnie wyrzuconym. O uczestnictwie p. Badeniego w tem niefortunnem prawodawstwie podręcznem nic nie wiadomo.

Podparłszy tak sprawę Niemców w Izbie, doczekano się też niemieckiego zwycięstwa. Uliczników w d. 25 i 26 z. m. wynosiła policya z Izby, najpierw-

---

30)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

„Poprawił się.“

To człowiek, którego pozbawiono niewinności—powiedział mi o nim ktoś z „inteligencyi“ sachalińskiej.

Człowiek, z którym zdarzył się ten wypadek, Baład-Adasz, góral, jest skazany za zabójstwo.

Niezwykle silny, zapewne dawniej był niepospolicie odważny, stanowczy i butny.

Był „niecierpiany w katordze.“

Nie wzdragał się pracy, ale gdy jemu lub towarzyszom jego wyznaczono robotę „nie według prawideł,“ protestował w ten sposób, że przestawał pracować.

Był grzecznym i uległym, ale gdy go łajano, odchodził.

Gdy mu robiono jaką uwagę, odpowiadał na to hardo.

Jemu słowo, on zaś dziesięć.

Był żarliwym obrońcą sprawiedliwości i usiłował ją stosować wszędzie, gdzie tylko mógł.

— Wyglądało, jak gdyby nie my jego, lecz on nas poprawiać tu przyjechał! — z oburzeniem opowiadał mi przedstawiciel „inteligencyi.“

Przytem Baład-Adasz nie pozwalał się bić za swoje zuchwalstwo.

— Jego na „kobyłę“ kładą, a on bierze się do bicia. „Nie pozwalam tykać siebie rózgą. Będę bił wszystkiem, co w ręce wpadnie! Radzę nie dotykać!“ — krzyczy. Cóż z nim poradzić?!

— Związać i dobrze wychłostać — przerwał ktoś ze słuchaczów.

— Dziękuję uprzejmie! Dziś go zwiążemy i ochłoszczemy, a on jutro pchnie nożem w bok. Z tymi Kaukazczykami niema żartów.

W tym czasie na okrąg Korsakowski spadł nowy inspektor osiedlenia.

Człowiek energiczny, bardzo silny, zasad surowych, stanowczy: „Co tam sądy? W pysk i basta“ *).

Do niego właśnie posłano Baład-Adasza „dla ukrócenia,“ z nadmienieniem, co to za okaz.

Cały okrąg oczekiwał:

— Co to będzie?

*) Ten człowiek energiczny na wstępie swojej działalności napotkał „niepożądane przeszkody“: gubernator wojenny wyspy ostrzegł go, że taka „działalność“ jest niemożliwa nawet na Sachalinie i że w razie jej stosowania istnieją środki mniej lub więcej nieprzyjemne dla „działaczów“ energicznych.

Ale niech o tem opowie sam inspektor energiczny:

— Wychodzę z kancelaryi, patrzę, stoi śród aresztantów typ taki. Postawa spokojna, spojrzenie śmiałe, hardo. Patrzył Czapki nie zdejmie *). I wszyscy, ilu tam było, stanęli ciekawie: „Co to będzie? Kto kogo?“ Miłość własna odezwała się we mnie. Podchodzę: „Ty, taki, owaki! czemu czapki nie zdejmiesz? Co? Zrzuć czapkę!“ I jak się rozmachnę — z nóg!

Baład-Adasz w jednej chwili zerwał się z ziemi, „opętania dostał,“ rzucił się na inspektora: „Ty bić będziesz?“

— Ja się rozmachnąłem i po raz drugi zwaliłem go z nóg. Krew; wynieśli go bez czucia.

Pojedynek skończył się. Baład-Adasz ukrócony.

— Myślano potem, że on go zarżnie. Nie! Nic jakoś nie było! — opowiadali mi inni przedstawiciele „inteligencyi.“

— Płakał Baładek bardzo. Przez wiele dni nie przemówił do nikogo. Milczał! — opowiadali mi aresztanci.

Widziałem Baład-Adasza, zawiązałem z nim znajomość. „Poprawił się“ istotnie.

Można go łajać, bić, chłostać ile się podoba; często musi kosztować tej przyjemności: pijak, złodziej, łgarz, łotr, donosiciel. Niema żadnej podłości, którejby się

*) Baład-Adasz wiedział, że go przysłano „dla ukrócenia.“

szego — Wolfa, a przeważnie socyalistów z p. Daszyńskim na czele; ale cały ten drakonizm okazał się bezpłodnym; nawet prawica nań sarkała; d. 27 z. m. p. Abrahamowicz nie zdołał nawet zagaić posiedzenia. W niedzielę cesarz odwrócił już kartę, nie czyniąc jednak przez to jeszcze nic dla wydobycia rzeczy publicznej z ciężkiego grzęzawiska. Położenie jest groźne, przewrotowe. Austrya zapada na chorobę konstytucyjną, dostaje jakby tyfusu politycznego.

Cesarz powierzył utworzenie nowego gabinetu przyjacielowi br. Badeniego, a nie-wrogowi Galicyi, min. ośw. Gautschowi. Z nazwisk, ogłoszonych przez *Fremdenblatt* widać, że będzie to gabinet przeważnie urzędniczy, jak Kilmansegga. Min. zbrojności, Welsersheimb, pozostaje.

Gniew niemiecki z Izby wypełznął d. 25 z. m. na ulice Wiednia i przy udziale politykujących studentów, socyalistów, obuszających p. Daszyńskiego, motłochu niemieckiego, okrzykującego takiego Wolfa, którego za pobicie policyanta uwięziono — trwał przez dni cztery. Dopiero dymisya ukoiła wrzenie. Cesarz nie przyjął Luegera, burmistrza. Rola p. Daszyńskiego i jego kolegów, a współrodaków jest w tem trzymaniu z Niemcami haniebnie nierozumną. Manifestacye studenckie w Hradcu wtórzyły wiedeńskim. W Czechach wrogie sobie narodowości wzięły się za bary; pospólstwo czeskie burzyło kluby, restauracye, szynki, sklepy, lokale stałych towarzystw, nawet fabryki; powybijało wszystkie szyby w uniwersytecie niemieckim. Rozruchy od poniedziałku trwały do środy wieczorem i końca ich jeszcze nie było. Przyszło do bójek i zaburzeń w Chebie, w Libercu, w Pilznie, w Aussing itd. Zaciekłość niemiecka strzeliła i z sejmu niższo-austryackiego: Centraliści zażądali potępienia porządku prezydyalnego, gwałcącego prawa t. zw. parlamentu. Z kotła tych wszystkich wrzątków, zaprawionych krwią, wybuchła odezwa Riegera, wzywająca naród czeski do obstawania przy prawach narodowych, do zniesienia przewagi Niemców w wewnętrznej organizacyi Czech. A tu trybunał najwyższy orzeka nielegalność rozporządzeń językowych!—taki nadszedł telegram: wierzyć się weń nie chce.

Cesarz Wilhelm zagaił sejm cesarstwa d. 30 z. m. mową o potrzebie pomnożenia floty, o wzmocnieniu handlu i żeglugi, o nowej procedurze wojskowej, o zatargu z Chinami, o dobrych stosunkach z innemi mocarstwami. Znajdowało się w mowie zdanie o czemś przed dwoma laty zaszłem, czego zrozumieć niepodobna. Na flotę potrzeba będzie teraz 150 mil. rokrocznie. Niemcy muszą dojść do 19 pancerników, 42 szybkobiegów, 8 pancerników przybrzeżnych — a dojście to kosztować ich ma okrągłe 165 mil. Nie podoba się to ogromnie Anglikom.

W Paryżu dziennikarze, prowadzący śledztwo w sprawie Dreyfus-Esterhazy, powydobywali już całe archiwa dokumentów i rozpołowili paryski przynajmniej naród na stronników Esterhazego i przyjaciół Dreyfusa. Nawet najpoważniejsze sprawy poszły w kąt. Gallo-Rzymianin z Lutecyi potrzebuje się przecież oryginalnie zabawić, chce i w tem przodować cywilizacyi. Min. wojny ogłasza, że wyrok Dreyfusa nie ulegnie zmianie; sprawa Esterhazego jest odrębną. Zdaje się, że łobuzowski Esterhazy głównie wyłudzał pieniądze od rządu; dodatkowo mógł uprawiać i szpiegowstwo.

W Bułgaryi szerzy się niezadowolenie z ks. Ferdynanda. On sam, przyjmując w d. 21 z. m. deputacyę z adresem Zgrom. narod., uskarżał się na *swój* rząd, że nawet osłaniać go nie zdoła od zarzutów bogacenia się złotem bułgarskiem, i oświadczył gorzką gotowość ustąpienia. Oryginalny *swój* rząd: chyba to rząd mógłby o księciu powiedzieć *mój*, bo go w mocy swej trzyma. Gdyby inaczej było, książę nie potrzebowałby żalów takich roztaczać.

Pokój Grecyi z Turcyą jeszcze nie podpisany.

ŻYCIE SPOŁECZNE

LISTY PETERSBURSKIE.

Kategorya ludzi i kategorya czynów, niepodlegających napiętnowaniu.—Za pustą butelkę—życie.—Cenzus moralny. — Pijaństwo na ulicach. — Pośrednicy do „popychania" spraw. — Reforma egzaminów konkursowych. — Artel kobiet.

Istnieje pewna klasa ludzi, którą stać na wszystko: na zwalczenie i zgnębienie ekonomiczne słabszych współzawodników, na kolacye z szampanem, szansonistkami i... tłuczeniem luster w gabinetach, na najmowanie całych towarzystw śpiewackich lub aktorskich do prywatnych salonów, na kupowanie gardziołków sopranich, ust koralowych, które nie z jednej czary życia nektar piły; wreszcie na nurzanie w błocie czci i niewinności ludzkiej.

„Zasługi" jednego z przedstawicieli tej warstwy, milionera, kupca Filipowa, ujawnił niedawno sąd w Moskwie. Bogacz ten zapoznał się z panną Wandą Mickiewiczówną, uczenicą szkoły muzycznej, i zapałał do niej gorącym afektem... kupieckim, tj. chciał jej cnotę na pewien czas kupić złotem. Ale ponieważ targ otwarty nie doprowadziłby do celu, więc obrał on inny sposób, znany i wypróbowany przez donżuanów... Postanowił starać się o rękę pany. Krewni, przyjaciele, kumoszki, widząc tak „świetną partyę," zaczęli gorąco zachęcać dziewczynę, ażeby nie lekceważyła zalotów, aż ta w końcu uległa namowom. Nie pogardzała podarunkami, teatrem, kolacyami itd. Pewnego razu „narzeczony" przyniósł swej „lubej" złotą cygarnicę. Ona jednak nie chciała przyjąć tego podarunku, tłomacząc się, że nie pali. Kupiec udał rozgniewanego i cisnął podarunek. Panna w końcu musiała przyjąć. W restauracyach potem Filipow nieraz przesuwał przed oczami obecnych złotą cygarnicę, a p. Mickiewiczówna w chwilach ciężkich zastawiała upominek w lombardzie. Wiedzieli o tem bliscy.

Nareszcie przyszła taka chwila, że narzeczona zaczęła naglić swego konkurenta, ażeby się z nią żenił. Ten się oparł i chcąc sprawę załatwić stanowczo, oskarżył swą „narzeczoną" przed sądem, że mu .. skradła złotą cygarnicę. Sąd pokoju i zjazd uniewinniły ją, a fałszywe oskarżenie Filipowa uznały za... niesumienne. Sprawa wreszcie przeszła do sądu okręgowego i tam była roztrząsana przez przysięgłych. Towarzysz prokuratora, kładąc nacisk na fałszywe oskarżenie, upatrywał w tem ciężkie przewinienie, dowodził, że taka zniewaga uniemożliwia istnienie ludziom uczciwym, gdyż nie zawsze potwarz potrafią odepchnąć. Charakterystycznych dowodzeń chwycił się obrońca kupca. Utrzymywał on, że fałszywe oskarżenia były niebezpieczne tylko za Piotra Wielkiego, teraz nie są one szkodliwe; ale natomiast kara dotąd istnieje dość ciężka, więc należałoby ją złagodzić. Jakoż obrona ta snadź trafiła do przekonania pp. sędziów przysięgłych, gdyż ze względu, że Filipow nie posiada wykształcenia, a z natury jest donżuanem, uniewinniono go!

Nie wiem jeszcze, jaką miarą będzie zmierzony czyn „obywatela," „naszego rodaka," co to „żyje bosko i szlachetnie." Z listu prywatnego, który przed chwilą odebrałem, przytaczam wyjątek następujący: „W mieście powiatowem Gorodku

nie chwycił ten człowiek z „utraconą niewinnością."

Leniwiec — tylko się stara ciągle złożyć swoją robotę na innych.

Jest pogardzany przez całą katorgę i zaliczany do „chamów," ludzi pozbawionych wszelkiego sumienia; do klasy najbardziej poniżanej nawet śród tych „mętów ludzkości."

Zapytywałem go między innemi i o „ukrecenie."

Nieznacznie spochmurniał, ale w tejże chwili uśmiechnął się całemi ustami, jakby przypominając sobie coś zabawnego, i dodał machnąwszy ręką:

— Bardzo bił mię po twarzy! Bardzo bił!

Taki jest dziś Balad-Adasz i taka jego poprawa.

Przestępcy i sąd.

(Ze spostrzeżeń na Sachalinie).

> Oskarżeni nie mieli kopii aktu oskarżenia: podarli ją na „cygarka."
>
> *Ostatni proces elisawetgradzki.*

Oto świat!—włosy na głowie powstają!

— Boże! i to obywatele, którzy niewiadomością prawa nie mogą się bronić?!

Nawet najbardziej doświadczeni śród nich, bywalcy, którzy, zdawałoby się, powinni być z tem obeznani, i ci źle rozumieją, co się robi na sądzie.

Zapytałem ich o treść mowy prokuratora; zdaje się, powinni słuchać i rozumieć. Co za okropne brednie pletli!

Jeden np. utrzymywał, że jakoby prokurator, wskazując okrwawione „dowody rzeczowe," żądał, ażeby z nim, przestępcą, zrobiono tak samo, tj. zabito i poćwiartowano.

Większość „wybitnych" przestępców przesadza znaczenie swej zbrodni i oczekuje wyroku śmierci.

— Przecież prawo na to nie pozwala!

— A ja skąd mam wiedzieć?

Niepewność, oczekiwanie, zamknięcie na osobności przed śledztwem, wszystko to targa ich nerwy, wywołuje coś w rodzaju manii prześladowczej.

Wszyscy się uskarżają na „niesprawiedliwość."

Przestępca jest otoczony wrogami: sędzia śledczy nienawidzi go i stara się mu dokuczyć, prokurator pała gniewem ku niemu, świadkowie przekupieni lub namówieni przez policyę, sędziowie bezwarunkowo stronni.

Wielu opowiadało mi, że ich chciano „zamorzyć" jeszcze przed sądem.

— Niech pan sobie wyobrazi, chciano mię udusić!

— Jak-to?

— Zamknięto w celi osobnej, żeby nikt nie widział. Nikogo nie wpuszczano. Jadło dawano najgorsze. A powietrze! — umyślnie posadzono mię koło „takich miejsc." Pomyśleli: udusi się.

Podania z przeszłości o epoce przed reformą mocno wżarły się w pamięć ludu.

Tylko tem można wytłomaczyć sobie takie dziwaczne opowiadanie:

— Gospodynię*) zabrał z początku sędzia śledczy. Ale ona obiecała mu przesłużyć darmo jako kucharka trzy lata, więc wypuścił ją. Potem już władza zwróciła uwagę, więc znowu ją posadzono.

Nawyknienie do systemu „formalnych dowodów" zapuściło głębokie korzenie w świadomości ludu, skaziło jego pojęcia o sprawiedliwości.

— Skazano mię niesprawiedliwie! — często mówią przestępcy.

— Ale przecież, jak mówisz, zabiłeś?

— Zabić, to zabiłem, ale nikt nie widział. Świadków nie było; jakże oni mogli dowieść? To nie według prawa.

To przyzwyczajenie do tak dawno praktykowanego „systemu dowodów formalnych," powoduje zapieranie się w sądzie, poleganie wyrokowi „bez zeznań," pomimo że przyznanie się do winy zgotowałoby lżejszy los wielu skazańcom.

Pamiętam, starzec-ojcobójca opowiadał mi swoje dzieje.

Serce się krajało, gdym słuchał. Co za straszny dramat rodzinny, co za katorgę

*) Mowa o gospodyni, która najęła opowiadającego do spełnienia morderstwa.

gub. Witobskiej, chłop kupił butelkę wódki i zanim zdążył wysuszyć ją do dna, wszystkie sklepiki skarbowe z trunkami pozamykano. Nie chcąc tedy pustej butelki wieźć do domu, trochę podchmielony poszedł do głównego składu, który był jeszcze otwarty, z prośbą o przyjęcie naczynia i zwrot 5 kop. Nie przypuszczał, nieborak, że ostatni raz idzie po tej ziemi. Pan zarządzający, ów właśnie „obywatel,“ oburzony na chłopa zuchwałego, uderzył go w twarz tak silnie, że ten stracił równowagę, okrwawiony stoczył się po schodach wysokich i złamał kręgosłup. Nikt na pomoc nie pospieszył; przeciwnie — zbrodniarz kazał wynieść ofiarę i porzucić na drodze w pobliżu. Podobno długo on jeszcze tam jęczał konając, aż noc czarna zakryła mu oczy, które przed paru godzinami napawały się widokiem butelek różnej wielkości, z nektarom słodzącym mu życie.“

Jak wiadomo, na setki posad przy monopolu posypały się tysiące podań. Z tej olbrzymiej masy kandydatów wybrano liczbę potrzebną, ale wybór nie zawsze był fortunny. Dochodzą nas wieści z Witebska i innych stron, że na posady te rzuciły się odpadki społeczne, nędza moralna, której oczywiście władza sternicza nie była w stanie poznać i nie można jej za to obarczać oskarżeniem. Gdy przypadkiem śród tych wyszarzałych i zbrudzonych charakterów, śród tej nędzoty, szczerzącej na siebie zęby o kawałek chleba, śród tych płazów, czołgających u podnoża instytucyi zarobkodawczej, zabłąka się dusza czysta, musi coprędzej umykać, ażeby odetchnąć swobodniej i splunąć po niemiłej woni rozkładających się pierwiastków moralnych tych istot — zwanych ludźmi. Instytucya zarobkodawcza bierze pracę i płaci za nią. Owe pierwiastki duszy i charakterów leżą po za obrębem jej zadań. Ale skoro na wszelkich innych placówkach zapasów o byt jest wymagany cenzus moralny obok uzdolnień specyalnych, czyby więc nie można było do pewnego stopnia i tutaj wprowadzić tego warunku? Wszak nowa postać handlu trunkami ma na celu zapobieganie rozkładowi moralnemu mas ludności, a więc tem bardziej warunek powyższy powinien być przestrzegany na owych stanowiskach.

Teorya częstokroć tak daleko różni się od potrzeb i zjawisk życia, że przy zetknięciu się z niemi robi bolesne niespodzianki i daje kosztowne wskazówki praktyczne. Takie dotkliwe niespodzianki wywołały w niektórych miejscowościach środki zwalczania pijaństwa za pomocą zmiany pewnych form ekonomicznych w danej dziedzinie handlu. Wieś Miass, z 18 tysiącami mieszkańców, posiadająca wszelkie instytucye typowo miejskie i grupy pracowników ukształconych, dotknięta jest obecnie straszną klęską, masowem pijaństwem. Oto co pisze korespondent *Syna Otieczestwa*: „Pijacy zawładnęli ulicą i placami, urządzają na nich bójki i popełniają zbrodnie. W dzień świąteczny przykro i niebezpiecznie przechodzić np. zaułkiem Czudinowskim, gdzie na chodnikach siedzą i leżą grupy ludzi, oddanych libacyom, pod drzwiami rządowego sklepu sprzedaży trunków. Krzykom i połajankom towarzyszy nieczystość pijacka. To samo przy innych sklepach. Z dawnych szynków tłuszcza pijacka wraz z wrzawą i awanturami wylała się teraz na ulicę i z każdym dniem ulica ta przyzwyczaja się do pijanych, a pijani do ulicy.“ Korespondent narzeka na obchodzenie prawa, na ten zakorzeniony już a niczem nieukrócony zwyczaj libacyj tłumów, siedzących lub leżących na ulicy; wreszcie zaznacza, że jednocześnie silnie się rozwinął potajemny handel trunkami, że tajne szynkownie są czynne po całych nocach.

Na innego rodzaju „nielegalszczyznę“ prasa zwróciła w ostatnich czasach uwagę. W Kiszyniowie niejaki p. Narli, pragnąc umieścić syna w instytucie inżenierów komunikacyj, wynalazł pośrednika, p. Stürmera, który za pewną opłatą przyjął kandydata do swojej szkoły prywatnej celem przygotowania go do egzaminu konkursowego w owym instytucie. Przed chwilą stanowczą ojciec napisał list do p. S., prosząc o poparcie i obiecując, w razie przyjęcia do Instytutu, 500 rs. Młodzieniec dostał się do tego zakładu pomyślnie, ale jego ojciec obietnicy nie dotrzymał, skutkiem czego p. S wytoczył proces. Sprawa stała się jawną i wywołała rozmyślania publicystów. Jeden z nich pisze: „Oddawna już w społeczeństwie krążą pogłoski o istnieniu uprzywilejowanych osób lub szkół prywatnych, które, naturalnie za odpowiednią zapłatą, podejmują się usunąć wszelkie kłopoty i przeszkody, utrudniające wstęp młodzieży do wyższych zakładów naukowych. Proces potwierdza owe pogłoski, a zjazd sędziów pokoju uświęca prawo bytu takich p. Stürmerów, ułatwiających wstęp do szkół wyższych tym młodzieńcom, którzy egzaminu konkursowego nie złożyli.“

Egzaminy konkursowe, które co rok tylo bolesnego zawodu przynoszą znacznej liczbie młodzieży, przyjeżdżającej nad Newę z najdalszych krańców państwa, będą zreformowane. Komisya specyalna opracowała już nowe przepisy i zwróciła uwagę na następujące braki w systemie obecnym: sztucznie wytworzone współzawodnictwo z powodu, iż do jednego zakładu staje dwakroć lub trzykroć więcej kandydatów, niż jest miejsc wolnych. Z tego wynikają surowsze wymagania egzaminatorów i straszne wyczerpanie młodzieży, stawającej do egzaminu naraz w kilku zakładach. Do ujemnych wyników prowadzą także: przypadkowość stopni, pomijanie skłonności osobistych młodzieży do tej lub innej specyalności. Wreszcie nie jest pożądaną rozmaitość programów. Od r. 1898/9 obowiązywać będą nowe zasady: Dla Instytutów: komunikacyj, górniczego, technologicznego, inżenierów cywilnych i elektrotechnicznego utworzone będą dwie komisye: porządkowa i wspólna egzaminacyjna. Do pierwszej wejdą uczeni, dyrektorowie wydziałów naukowych i dyrektorowie wszystkich pięciu Instytutów. Komisya oznaczy ilość miejsc wolnych na pierwszych kursach, termin i miejsce egzaminów, liczbę egzaminatorów itd.

Egzaminy prowadzić będą komisye, każda złożona z dwu egzaminatorów i kierownika. Pierwszych władza wybiera z profesorów, drugiego powołuje komisya porządkowa. Kandydat zdaje egzamin przed każdym egzaminatorem osobno, którzy też osobno stopnie wystawiają. Prośby składać należy od 13 czerwca do 27 lipca (n. s.), z nadmienieniem instytutu jednego lub kilku, do których kandydaci chcą wstąpić. Egzaminy rozpoczynają się w końcu sierpnia i początkach września. Program ich wspólny dla wszystkich: z języka rosyjskiego (piśmienny), fizyki, algebry i arytmetyki, geometryi, trygonometryi, rysunków i języków obcych. Po ukończeniu egzaminów będzie układa-

---

moralną musiał przeżyć starzec, ojciec rodziny, zanim poszedł zabić swego ojca! Nie przyznano mu nawet okoliczności łagodzących.

Czyż mogło się znaleźć 12 przysięgłych, którychby nie poruszyło to szczere, serdeczne opowiadanie?

— Ale ja się nie przyznawałem na sądzie.

— Czemuż otwarcie, szczerze nie powiedziałeś wszystkiego? Przecież żona, syn, synowa, sąsiedzi byli w sądzie, mogliby potwierdzić twoje słowa?

— Tak! Myśleli — świadków nie było przy zabójstwie, więc nic nie będzie!

Szczególnie przykre wrażenie robią włościanie.

Niełatwo od nich się dowiedzieć, jak byli sądzeni, czy przez sąd przysięgłych, czy inaczej.

— Przed tobą przecież siedziało w sądzie 12-tu ludzi.

— Naprzeciwko?

— Tak, tak — naprzeciwko! Dwunastu, ot, tak, a dwu z boku. Wszystkich czternastu.

— Któżby tam ich liczył? Na prawo dużo ludzi siedziało. Publiczność porządnie ubrana. Panie... Ale, proszę zaczekać! — przypomina sobie — prawda, i naprzeciwko siedzieli, ciągle to wchodzili, to wychodzili. Przyjdą, wyjdą, i znowu przyjdą. Czy to o tych pan pyta?

— Tak, tak, to oni właśnie! Przecież to byli twoi sędziowie!

— No, proszę! A ja myślałem, że to kupcy jacyś. Interesują się!

Większość nawet nie może odpowiedzieć na pytanie, czy mieli obrońcę.

— Czyś miał adwokata? — pytam chłopa, który się skarżył, że go skazano niesprawiedliwie.

— Adwokata? Nie. Chcieli moi wziąć jednego w traktyerni, ale żądał drogo. Nie na naszą kieszeń!

— Ale słuchaj! Przecież miałeś wyznaczonego obrońcę z urzędu, darmo: rozumiesz? darmo! I to adwokata rzeczywistego, nie z traktyerni.

— O tem wiedzieć nie mogę.

— Przecież przed tobą, przed kratkami, za któremi byłeś w sądzie, ktoś musiał siedzieć?

— Tak, siedział. Ładny taki pan, okazały. Mundur rozpięty. Chodził śmiało, swobodnie.

Zapewne komisarz sądowy.

— No, a obok niego? W ubraniu cywilnem, czarnem: znaczek miał biały srebrny, ot, tutaj.

Chłop się uśmiecha, przypomina.

— Taki kędzierzawy, niewielkiego wzrostu?

— No, już tego nie wiem, jakiego on wzrostu. Czy mówił cokolwiek ten kędzierzawy?

— Kędzierzawy? Spróbuję sobie przypomnieć. Gadał coś. Natychmiast jak „prokurat“ skończył, i on powstał także. Bardzo przejmująco mówił „prokurat.“ surowo. Prosił ciągle, żeby mię na całe życie pod ziemię. „Do korzeni go“—mówi.

— No, dobrze — to prokurator. A kędzierzawy, cóż on?

— Także coś mówił. Tylko, przyznam się, nie słuchałem. Po co mi to?

— Przecież to był twój obrońca, adwokat!

— No, proszę! A ja myślałem, że to jakiś pan z „sądowych.“

— Czy przed tem, przed sądem był on u ciebie w więzieniu?

— Kto? kędzierzawy?

— Kędzierzawy!

— Kędzierzawy nie był. A może był? Tak, był! — przypomniał sobie nareszcie. Był raz. Zapytywał, czy mam świadków. Jakichże ja mogę mieć świadków? My, ludzie ubodzy, świadków nająć nie mamy za co!..

Szkoda, że pp. obrońcy nie postarają się sumienniej traktować swoich klientów „z urzędu.“

Wielu przestępców dopiero na sądzie po raz pierwszy widzi swoich obrońców..

(C. d. n.).

na listę tych, którzy zdali w porządku według skali stopni: kandydaci z najwyższymi stopniami mają prawo wyboru instytutu. Na koszt egzaminów każdy kandydat płaci rs. 6. Za niezamożnych opłatę wnoszą gimnazya właściwe. Niedobory pokryte będą z funduszu instytutów. Przepisy te nie są obojętne dla setek naszej młodzieży, ściągającej nieraz z nadzwyczajnym wysiłkiem materyalnym do Petersburga, ażeby tam znowu z wysiłkiem nerwowym i umysłowym stanąć do współzawodnictwa z setkami innych kandydatów. Dzięki przepisom powyższym, forsowność ta i zarazem niepewność losu zmniejszą się znacznie.

Kobiety w obrębie państwa rosyjskiego coraz skłonniejsze są do zrzeszania się. Nauczone smutnem doświadczeniem, bólem i poniewierką, które zwykle towarzyszą rozproszonym, pojedynczym poszukiwaczkom pracy w wielkich miastach, postanowiły w Petersburgu zawiązać artel, na wzór męzkich organizacyj tego rodzaju. Celem stowarzyszenia będzie dostarczenie przedsiębiorstwom handlowym i przemysłowym kasyerek. t. zw. sklepowych, zarządzających i wszelkich innych pracownic, których zajęcie związane jest z odpowiedzialnością materyalną. Artel kobiet o tyle stać będzie wyżej od męzkich, że zwiąże wspólnością interesów pracownice wykształcone ogólnie i specyalnie. Warto, ażeby za tym przykładem poszły nasze pracownice w Warszawie.

Paweł Krzyżanowski.

Z NIEMIEC.

Berlin, 27 listopada.

Odpowiedź dziecka bawarskiego. — Tłumiona i ujawniona odraza Niemców do Prusaków — Zamachy junkrów na konstytucyę.—Prześladowanie prasy.— Dręczenie redaktorów. — Ilu wypada wrogów państwu.

Pewien dygnitarz, a podobno sam minister we własnej osobie, zwiedzał szkołę bawarską. Aby zmierzyć, jak wysoko podnoszą się patryotyczne uczucia dzieci na termometrze prawowierności politycznej, prosi malca o wymienienie wrogów ojczyzny. Chłopiec bez długiego namysłu odpowiada: „Prusacy!“ Można sobie wyobrazić miny nauczyciela i wizytatora. Ta lakoniczna odpowiedź dziecka świadczy niezaprzeczenie, iż Niemiec południowy omal nie z mlekiem matki wysysa nienawiść do Prusaków. Wszak w kołysankach bawarskich rolę wilka i innych straszydeł przez długi czas odgrywał współziomek Bismarcka. Prusacy więc są znienawidzeni nietylko po za kordonem granicznym Niemiec, lecz i u siebie w domu, wśród swych braci po rzeszy. Gdy w sejmie wirtembergskim po zwycięztwach r. 1870 roztrząsano sprawę zjednoczenia plemion niemieckich pod dowództwem Prus, posłowie krzyczeli, iż wolą być w jarzmie francuskiem i ostrzegali przed krokiem stanowczym, który miał Niemcom południowym powierzyć rolę kierownika i gospodarza rzeszy. W Badenii, której obywatele ongi ciążyli ku Francyi swemi przekonaniami politycznemi, Prusacy uchodzili za barbarzyńców. W innych drobnych państewkach również patrzono z góry na nich, jako brutalów, pozbawionych pokostu cywilizacyjnego. Przed laty kilkudziesięciu cała sztuka i literatura kwitła w Niemczech pod egidą drugo i trzeciorzędnych dworów, jak weimarski, meiningeński, gotajski itp. Jeśli po r. 1870 zdecydowano się nadać Prusakom godność zwierzchnika rzeszy, to bynajmniej nie wchodził tu w grę pietyzm dla narodu, lecz jedynie jego imponująca potęga wojskowa. Ci sami junkrowie, co zorganizowali tak znakomitą armię, iż żołnierze na rozkaz swego dowódcy rzucali się w ogień i wodę, mogli teraz ze słusznem prawem pretendować do tytułu stróżów bezpieczeństwa w stosunku do otaczającego świata. Polityka nie zna sentymentów; to też lepsi Niemcy ze ściśniętem sercem poddali się konieczności, nakazywanej przez względy polityki. Dwór pruski, biorąc pod uwagę odrazę, której zażywało jego państwo w obrębie terytoryum niemieckiego, urzędowo przyrzekł dokonać „zaborów moralnych“; że jednak wszystko spełzło na obietnicach, że Prusacy nie poszli przeciwko swemu samolubstwu i instynktom junkrów, świadczy najoczywiściej fakt, iż dziś, 25 lat po dokonaniu zjednoczenia, odraza do Prus bynajmniej nie poszła w zapomnienie, zwłaszcza państwa południowe z niechęcią znoszą ich przodownictwo. Welfowie w Hanowerze i Brunświku nie dali za wygranę. Partykularyzm bawarski nie skwitował ze swych starodawnych dąsów. Nawet w Saksonii przyjęto z oburzeniem wmurowanie tablicy pamiątkowej w dom, gdzie urodził się Treitschke. W Wirtembergii przewodniczący na pewnem zebraniu ludowem wygłosił niedawno modlitwę w słowach: „Dziękujemy Ci, Boże, żeśmy się nie urodzili Prusakami,“ a zebranie jednogłośnie chórem wtórowało tej mowie. Hegemonia i gospodarka ministrów pruskich wywołała powódź niezadowolenia w Niemczech. Chwaląc dzielność wojska, wychowywanego w karności i tradycyi, obywatele niemieccy dyskontują nieprzerwanie przed terminem weksel zaufania, wystawiony na dłuższe lata Prusom.

W ostatnich dwu artykułach wykazaliśmy, jak żarłoczność junkrów, przebierając miarę nakreśloną przez kodeks, musiała doprowadzić do zatargu z prawem i ustrojem politycznym. Stopniowo rzdziby oni z gmachu zdobyczy politycznych wyjąć jedną cegiełkę za drugą aż do zupełnego zawalenia się budynku konstytucyjnego. Już z tej samej racyi naigrawa się rząd pruski ze wszystkich długoletnich pretensyj niemieckiego sejmu rzeszy. Oddawna domaga się opinia publiczna pensyj dla deputowanych, aby umożliwić służbę obywatelską osobom ubogim, lecz czującym w sobie odpowiednie powołanie. Od lat wielu żądają Niemcy reformy procedury karnej sądu wojennego. Konieczność jawności i ustności w postępowaniu tak zakorzeniły się w przekonaniu społeczeństwa, iż nie może ono pojąć, dlaczego sąd wojenny miałby się posługiwać wręcz przeciwnemi zasadami, niż cywilny. Praktyka wykazała, jak dowolnie i bezkarnie niższe organy policyi mogą nadużywać paragrafu, zabraniającego łączenia się pomiędzy sobą stowarzyszeń politycznych. Proszono więc kilkakrotnie o zniesienie zakazu. Wszystkie atoli skargi, protesty i żądania odbijały się o ucho rządu potężnem echem głosu proroka na puszczy. Nie zadawalając się tem, policya i sądy wbijają coraz głębiej kliny w luki ustroju państwowego, aby rozszerzyć te szczeliny i dosięgnąć opozycyę, czującą się niebezpieczną pod ochroną paragrafów prawnych. Tak np. skazuje sąd burmistrza na złożenie z urzędu za to, iż nie wymówił mieszkania i nie wyrzucił na bruk sędziwej lokatorki, która w młodości grzeszyła nieprawomyślnością. Komisya szkolna zabrania dawać lekcyj pewnej nauczycielce za to, iż ośmieliła się publicznie ujawniać swą przynależność do gminy dyssydentów, uznawanej przez państwo za legalną. Zwłaszcza sądy prowincyonalne zaprzysięgły sobie spaczać prawo na niekorzyść żywiołów opozycyjnych. Do najnowszych odkryć światłych sędziów należy stosowanie, ni w pięć ni w dziewięć, paragrafu o tak zwanych *dolus eventualis*. Kto nie popełnił czynu karygodnego, mógł jednakże w głębi serca taić zamiar dokonania go. Kto prześlizgnął się pomiędzy Scyllami i Charybdami niedomówień i dwuznacznych ustępów kodeksu, temu grozi bezdenna czeluść *doli eventualis*. Aby podsuwać komuś zdrożne zamysły, na to nie trzeba poważnych powodów. Przypuśćmy, osoba niemiła rządowi wygłasza mowę, zawierającą kilka niejasnych zwrotów, które w przekręceniu mogą dać powód do procesu. W takim wypadku sąd wychodzi z zasady, iż mówca powinien był uwzględnić, że wśród zebranych znajduje się sporo ludzi niewykształconych, którzy mogą źle zrozumieć jego słowa i przyjść do wniosków zagrażających podstawom bezpieczeństwa społecznego. Mówcę pociąga się w takich razach do odpowiedzialności za lekkomyślne igranie słowami. Kazuistyka sądowa w ostatnich latach doszła do zadziwiającej subtelności pod tym względem i czyni dalsze postępy, nie krępując się alarmem prasy, która w tych warunkach musiała podwoić ilość redaktorów. Weszło nawet w zwyczaj utrzymywać specyalnych *Sitzreducteur*ów, to jest będących na utrzymaniu tylko po to, aby odsiadywać więzienie, jeśli pismo wpadnie do pułapki *eventualis*. Rząd jak gdyby postanowił prowadzić wojnę partyzancką, unikając tymczasowo walnej bitwy na polu wyborów ze zwartymi szeregami ludowymi; ministrowie pruscy starają się karcić psotników opozycyjnych i dokuczać każdej nieprawowiernej jednostce. Skazany redaktor staje się przedmiotem znęcań. Poddaje się go torturom moralnym i upokorzeniom. Przewozi się go w towarzystwie opryszków i prostytutek. Prowadzi się go, jak to niedawno zrobiono, w kajdanach przez miasto. Zmusza się go do najordynarniejszych robót, docina mu się wymówkami i szyderstwami, karząc jego odpowiedzi jako wykroczenia przeciwko przepisom więziennym. Doszło do tego, iż „Związek niemieckich stowarzyszeń literackich i dziennikarskich“ podał petycyę kanclerzowi, w której domaga się zniesienia tych nadużyć, przynoszących wstyd społeczeństwu, które za granicą lubi paradować w todze narodu „myślicieli i poetów.“ Oprócz tego żąda prasa skasowania, chociażby w części, paragrafów o dyfamacyi i obrazie. Dziwna rzecz, iż te punkty prawne najczęściej przychodzą na myśl prokuratorom, gdy trzeba oczyścić jakiejś grubej rybie reputacyę, zaszarganą w hańbie publicznej. Chociażby sam sąd stwierdził prawdziwość pogłoski, prasa musi udawać ślepą i głuchą, gdy wystawiono pod pręgierz jakąś dostojną osobę. Aby zapobiedz nadużyciom podczas śledztwa, prawnicy żądają reform w duchu Anglii, gdzie tylko sędziowie mają prawo decydować o uwięzieniu czyjemś podczas śledztwa. W Niemczech dzieje się inaczej: prokurator oświadcza, iż oskarżony może uciec, nim się dojdzie po nitce do kłębka. Pastwą tego niedostatecznego zaufania stają się zwykle redaktorowie pism opozycyjnych, zwłaszcza ubogich, niemogących złożyć odpowiedniej kaucyi. To znęcanie się nad przywódcami opozycyi i biednymi rycerzami pióra uderza i oburza tem silniej w zestawieniu z wyrozumiałością, okazywaną jakiemuś baronowi Hammersteinowi, sławetnemu redaktorowi *Krzyżówki*, który przed dwoma laty powędrował do więzienia za oszustwo. Przez wzgląd na słabe zdrowie i delikatny żołądek, urząd więzienny częstuje go od czasu do czasu, jak wykazała prasa, szampańskiem i ostrygami chyba po to tylko, aby dobrocią swą wywołać w pokutującym baronie huragany sumienia.

Pod wielu innymi względami lekceważy się szerokie warstwy społeczeństwa. Dość przytoczyć jako pierwszy lepszy

przykład, iż w całem wojsku pruskiem niema wśród oficerów ani jednego mieszczańskiego Schultzego lub Müllera, natomiast liczy armia w szeregu swych lieutenantów co najmniej kilkanaście latorośli ze szlachetnego pnia von Puttkamerów. A ileż to razy obwoływano opozycyę za „wrogów państwa“ lubo obejmuje ona całe centrum katolickie, wolnomyślną klasę, przemysłowo-handlową i radykalną warstwę robotniczą, słowem, mówiąc bez przesady, jakieś $^{95}/_{100}$ Niemiec politycznych. Takie wyklinanie w czambuł prawie całego narodu, a w każdym razie jego najdzielniejszej i najpracowitszej części, nie może chyba wpoić zaufania do trwałości tego *rocher de bronze*, jak się tytułuje niemiecką rzeszę w urzędowych przemowach. Reakcyjność Prusaków rozsadza ramy, w które oprawiono zjednoczenie Niemiec.

H. F.

Pielgrzymka do grobu wielkiego herezyarchy.

„Mój pradziad—sól w oku całemu aryanstwu,
Bo błędy na starość odprzysiągł kacerskie...“
K. Ujejski.

Przytoczone w nagłówku słowa niedawno zgasłego poety najlepiej malują stosunek naszego ogółu do ruchu reformacyjnego, który niegdyś wstrząsał całą Rzecząpospolitą, a następnie pod wpływem prześladowań XVII i XVIII w. został prawie wyniszczony. Kościół rzymski z dopomagającym mu do zwycięztwa zakonem jezuickim stanął na grobie polskiego protestantyzmu niepodzielnym władcą sumień tych, których ojcowie niegdyś czapek podczas mszy zdejmować nie chcieli i do szabel się na monstrancyę porywali (Otwinowski w Lublinie). A gdy później jeszcze wielki wicher dziejowy zmiótł i tych, co krzywdzili, i tych, których krzywdzono, zapanowało na mogile przeszłości milczenie grobowe o tej epoce dziejów naszego narodu. Literatura ubrała postać dawnego polskiego karmazyna atrybutami prawowierności, które były prawdą tylko w najgorszej dobie dziejów — w w. XVIII; na ruch reformacyjny zaczęto patrzeć jak na chwilową, przejściową gorączkę społeczeństwa, która nie pozostawiła po sobie trwałszych śladów w przeszłości. Dzieła Krasińskiego, Łukaszewicza, Krzyżanowskiego, które ruch reformacyjny w innem, zgodniejszem z prawdą świetle wystawić usiłowały, zostały zamilczane — niewiadomość w tej mierze doszła do tego stopnia, że Kornel Ujejski nie wiedział, iż pradziad jego nie mógł być aryaninem, bo w w. XVIII już w Polsce aryan nie było i że rodzina Ujejskich należała do filarów wyznania ewangielicko-reformowanego w dawnej Rzeczypospolitej. Ale nie względy wyznaniowe stanowią dla nas w ostatnich latach XIX w. siłę atrakcyjną polskiego ruchu reformacyjnego. Dziś, gdy po nim zostały prawie tylko groby, w których się w proch rozsypały płaszcze wojewodów i kasztelanów, buławy hetmanów, co aż do śmierci zostali wierni „szczeremu słowu bożemu“ — ruch ten jest dla nas dowodem, że Polska żyła wówczas jednem życiem umysłowem z Zachodem, że wolna myśl ludzka, co poruszała umysły najprzedniejsze nad Rodanem i Sekwaną, znajdowała szerokie echo i nad brzegami Szreniawy... Wszak na trzy wieki przed Spencerem u nas, koło r. 1580, drukowane dzieła, w których dowodzono (Tobiasz Wiśniowski), że „cnota leże się w *umowie* i potrzebie ludzkiej...“

Ze wszystkich odcieni polskiego ruchu religijnego najradykalniejszym był aryanizm, do którego niesłusznie przodka swego zaliczył Ujejski. Jakkolwiek przez cały stuletni czas swego trwania w Polsce (1560—1660) aryanizm liczył względnie mało zwolenników, to jednak dzięki energicznej propagandzie, działalności literackiej swych wyznawców, ich energii, odegrał znaczną rolę w przeszłości i skończył się tragicznie jedną ze smutnych kart dziejowych naszych—wywołaniem wszystkich aryan z granic Rzeczypospolitej (1660). Ci ze szlachty (z której prawie wyłącznie składały się zbory aryańskie), którzy nie chcieli przyjąć katolicyzmu, musieli się wyprzedać z dóbr i porzucić ojczyznę, co też uczyniła część najznaczniejsza, wychodząc do Węgier i innych krajów ościennych. Trudno nam bardzo przedstawić sobie dziś tę umysłowość polskiego szlachcica, co wolał się wyzuć z ojczyzny, majątku, wszystkich przywilejów pochodzenia i urodzenia, było zachować swe przekonania religijne, które naturalnie były znacznie bliższe angielskiego deizmu XVIII w., niżeli wiary Kościoła rzymskiego. Dogmat o *jednej* istocie boskiej, o nierówności Syna Ojcu, wykopywał naturalnie przepaść nie do przebycia między wyznaniem panującem i gorętszemi jednostkami z pomiędzy naszych Aryan, którzy siebie zwali „braćmi polskimi“ lub „unitaryuszami.“

Nauka Aryan, wskrzeszona w XVI w. znalazła organizatora i poniekąd kodyfikatora w osobie Włocha Sozzino, zwanego w Polsce Socynem, skąd i polscy aryanie socynianami często zwani byli. Właściwie dwóch teologów tego nazwiska, stryj Lelius i synowiec Faustus działalność swą w Polsce zaznaczyło. Lecz Lelius bawił u nas tylko krótko, w połowie XVI w., gdy tymczasem Faust, przybywszy tutaj w r. 1579, poświęcił działalność całego swego życia na zorganizowanie polskich aryan. Spokrewniony z najpierwszemi rodzinami polskiemi przez żonę, Moskorzewską z domu, pochodząc sam z rodziny arystokratycznej, do której należał jeden z ówczesnych papieży, wywierał Socyn dzięki swej uczoności, prawości charakteru, pracy literackiej, wpływ na współwyznawców ogromny. Zamieszkawszy początkowo w Krakowie, zmuszony był po napaści studentów, od której ledwo z życiem uszedł, opuścić stolicę i osiadł przy zborze aryańskim w Lusławicach na podgórzu karpackiem nad Dunajcem, koło Zakliczyna, o 5 mil od Tarnowa. W Lusławicach wielki z punktu widzenia Kościoła rzymskiego herezyarcha, życia dokonał d. 3 marca 1604 r. Jedyna córka z Moskorzewskiej Socyna wyszła za Wiszowatego, który to ród należał do najprzedniejszych aryańskich w Rzeczypospolitej.

Dziwnym zbiegiem okoliczności wszystkie burze religijne i polityczne, które przeszły nad Polską w początku XVII w., nie zdołały zniszczyć znajdującego się do tej pory w Lusławicach kamienia grobowego Socyna. Ten ciekawy zabytek naszej przeszłości dziejowej udało mi się odwiedzić w lecie r. b. Podług źródeł współczesnych, grób miał się znajdować obok gmachu zborowego, na cmentarzu, gdzie jeszcze w początku tego stulecia rosły ly trzy odwieczne lipy. Dziś z tego wszystkiego nie zostało ani śladu. Mogiła znajduje się na wysokim pagórku nad samą drogą, prowadzącą z Lusławic Wielkich do Małych, wśród pola zasadzonego burakami. Dwa kamienie grobowe, jeden w formie wielkiej płyty, a drugi sześcienny granitowego, oparły się wszystkim wpływom czasu i zostały jedynymi świadkami, że w tem miejscu spoczął wielki organizator socyanizmu. Kości Socyna, jak niesie tradycya, dawno się już w grobie nie znajdą; podobno na początku tego stulecia fanatycy miejscowi, z namowy proboszcza, wydobyli je i wrzucili do Dunajca. Kamienie są pokryte napisami, o ile się zdaje w języku włoskim i łacińskim, których odczytanie jednak przedstawia wielkie trudności z powodu zniszczenia, jakie wandalizm ludzki na nich poczynił. Tak np. wielka płyta grobowa jest pęknięta na dwoje i w połowie zupełnie zrąbana. Jak objaśnili mię miejscowi kmiotkowie, zniszczenie to wywołane zostało przeniesieniem płyty przed 30 laty z grobu do dworu miejscowego i ułożenia jej dla ozdoby przedsionka przed drzwiami. Gdy jednakże od tej pory „w dworze coś straszyć poczęło,“ dziedzic ówczesny kamień ów nazad na mogiłę przenieść kazał, atoli przy owej podwójnej podróży płyta znacznie uszkodzoną została.

Rzewne opowiadanie zdarzyło mi się także usłyszeć na grobie polskiego reformatora. Przed dziesięciu podobno laty przybył do Lusławic jakiś podróżny, który „prawie że nie po polsku nie umiał.“ Odszukawszy grób Socyna, kazał go oczyścić z bujnie zarastającego chwastu i potem siadłszy na kamieniach, „długo, długo płakał.“ Więc są jeszcze dzisiaj głęboko przekonani o prawdzie swego wyznania aryanie (znajdują się oni, jak wiadomo, w Anglii i w Siedmiogrodzie), którzy na grobie swego reformatora umieją zapłakać, jak Żydzi na gruzach Jerozolimy? A może ten cudzoziemiec był jednym z potomków tych karmazynów, co woleli się wyrzec wszystkiego na świecie, nawet ojczyzny, aby pozostać przy swojem „szczerem słowie bożem.“ Nie wiadomo.

Dziś Lusławice stanowią własność p. Barańskiego, pod którego opieką grób Socyna jest zabezpieczony od dalszego zniszczenia. Pomaga temu fakt, iż w pojęciu ludu antykatolicka działalność wolnomyśliciela została zatarta i nawet, zdaje się, tworzy się legenda, iż był to święty czy błogosławiony. *Quantum mutatus ab illo...*

Henryk M.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Konkurs na kantatę.

Świat nasz poetycki ma uzasadniony żal do komitetu Towarzystwa muzycznego o konkurs kantaty na uroczystość odsłonięcia pomnika Mickiewicza. Jak zwykło — chodzi o warunki i — jak zwykle — warunki niepotrzebnie krępujące swobodę. Żądany utwór ma być określonej wielkości (cztery strofy) — to słuszne; ale przytem miara nie powinna przekraczać 10 zgłosek w pierwszym, a 8 — w drugim wierszu; nadto każdy drugi i czwarty wiersz strofy winien być zakończony rymem męzkim. *Cui bono* to zastrzeżenie? Wygląda ono tak, jak gdyby muzyka kantaty już była gotowa i należało do niej zastosować słowa. Ale w takim razie po co gra w ślepą babkę? Czyż nie lepiej byłoby odrazu pokazać poetom melodyę i ułatwić im dorobienie tekstu? Najgorszym wszakże z tych warunków jest... wawrzyn dla zwycięzcy w postaci 25 rs. nagrody. Jakkolwiek synowie Apollina nie kąpią się w złocie i w każdym innym turnieju chętnie zdobyliby nawet tak skromny papierek, sądzimy, że nie ma pomiędzy nimi ani jednego, któryby nie uważał za dostateczną dla siebie nagrodę zaszczytu uczczenia swym utworem Mickiewicza i któryby chciał powiększyć ten zaszczyt 25 rublami. Zastanówmy się tylko: cały naród wznosi pomnik swojemu największemu wieszczowi, a ci, dla których on jest mistrzem, którzy są najwrażliwsi na

pobudki idealne i którzy najgorręcej pragnęliby wypowiedzieć jego chwałę — mają za najwymowniejszy jej wyraz otrzymać 25 rs. Doprawdy można nie zazdrościć sławy takiemu 25-rublowemu laureatowi. Albo tegocześni śpiewacy naszego Parnasu posiadają uczucia delikatnej i bezinteresownej czci dla tego, który jest dotąd dla nich słońcem — i w takim razie nie należy ich obrażać; albo tych uczuć nie posiadają — i wtedy trzeba je w nich rozbudzić. Zaiste byłoby to faktem bardzo smutnym, gdyby poeta polski nie chciał napisać kantaty dla Mickiewicza darmo i gdyby dopiero pod wpływem 25 rs. zbudziło się jego natchnienie. Zdaje nam się też, że komitet nadałby konkursowi większy urok, gdyby go pozbawił wszelkiej nagrody pieniężnej. Tak robili starzy Grecy.

Katastrofa.

Prawda, nie jesteśmy gorsi, niedbalsi od innych społeczeństw, które również mają katastrofy kolejowe, ale naprzód trzeba zważyć różnicę ruchu, a powtóre, czy nawet na naszą korzyść wypadające porównanie zmniejsza ciężar nieszczęścia? Czy ta myśl, że gdzieindziej także rozbijają się pociągi, powróci życie zabitym, zdrowie okaleczonym? Czy złagodzi boleść tym, którzy opłakują utratę osób kochanych? Bynajmniej. Fakt pozostaje okropnym i domaga się nietylko kary na winnych, ale przedewszystkiem naprawy stosunków, umożliwiających lub sprowadzających podobne wypadki. Ostatni, który zdarzył się na kolei W.-Petersburskiej, jest typowym i odsłania jeszcze raz stare źródło złego, tylokrotnie wskazywane jako główna przyczyna nieszczęść. Na stacyi Tłuszcz stał pociąg osobowy; wkrótce za nim nadjechał towarowy, który, skutkiem nieprzesunięcia zwrotnicy, wpadł na niego, rozbił kilka wagonów, przyczem 13 osób zostało zabitych a 20 kilka ranionych. Powtórzyła się tu znowu opłakana historya z błędnie nastawioną zwrotnicą, a powtórzyła się dlatego, że dróżnik, chcąc zarobić kilkanaście kopiejek, opuścił swoje stanowisko i pobiegł do pociągu osobowego, ażeby podróżnym zaofiarować swe usługi do wynoszenia rzeczy. Ciekawa rzecz, kiedy nareszcie zarządy kolejowe uwierzą, że życie tysięców ludzi nie może być zabezpieczonem odpowiedzialnością jednego prostego, licho pensyonowanego człowieka, który ani nie pojmuje jasno swojego zadania, ani często nie jest w stanie należycie go spełnić? Kiedy nareszcie one zrozumią, że wobec przyznawanego obecnie przez sądy wynagrodzenia poszkodowanych, wynoszącego setki tysięcy rubli, już nietylko uczciwiej, ale taniej byłoby poruczać straż nad zwrotnicami jednostkom inteligentniejszym i lepiej płatnym? Wszelkie argumenty teoretyczne w tym względzie są już wyczerpane bez skutku, teraz trzeba zmusić zarządy dróg żelaznych do takiego uorganizowania swej służby, któreby nie zawieszało życia podróżnych na wątłym włosku czujności parobka, pobierającego 8 rs. miesięcznie.

Zawalenie się domu.

To także stara historya. Na Pradze ściany nowowznoszonej kamienicy runęły i zabiły kilku robotników. Od lat kilku na każdym budowanym domu wisi tablica z nazwiskami: architekta, majstra i felczera. Zdawałoby się, że te osoby poręczają dokładność i sumienność przedsiębiorstwa, oraz że w razie wypadku winowajcy są odrazu wskazani. Tymczasem po katastrofie wszyscy oni znikają i pozostaje na placu sam właściciel, który zwykle kazał używać lichej cegły i dla oszczędności lepić fuszerkę. Niewątpliwie zasłużył on na pokutę w kryminale, dlaczego wszakże osłaniali jego występek majstrowie i budowniczy? Dlaczego oni pomagali mu do wykonania karygodnej tandety? Dlaczego nie zawiadomili władzy o dostrzeżonych nadużyciach i nie usunęli swych nazwisk z tablicy? Na te pytania słyszeliśmy niegdyś odpowiedź, że gdyby budowniczy wykonywał ścisłą kontrolę i nie pozwolił przedsiębiorcy na szachrajstwa, wkrótce ujrzałby się bez klienteli. Jest to tłomaczenie, którem również mógłby się usprawiedliwić każdy — paser. Bo i on gdyby nie kupował kradzionych rzeczy, mógłby także stracić zarobek. Nam się zdaje, że przy sądzeniu spraw o zawalenie się domów, odpowiedzialnością karną i cywilną powinni być również objęci majstrowie i budowniczowie. Skoro by oni, oprócz kozy i obowiązkowego wynagrodzenia strat, zostali pozbawieni prawa prowadzenia robót, domy przestałyby się walić, a ludzie w nich ginąć. Jest to jedyny ratunek, który dotychczas nie był stosowany z całą surowością — i dlatego w Łodzi nowowznoszone kamienice rozpadają się dziesiątkami, a w Warszawie, chociaż nie tak licznie, od czasu do czasu okrywają żałobą rodziny robotnicze.

Biblioteka przemysłowa.

Pod tym zbiorowym tytułem p. H. Wawelberg wydał już szereg dzieł specyalnych, mających na celu pomoc naukową niższym technikom, majstrom, mechanikom, rzemieślnikom i robotnikom fabrycznym, nieznajdującym w kraju odpowiednich szkół, któreby im dały wykształcenie zawodowe. Zarazem mają one zaznajomić młodzież, uczęszczającą do nowopowstałych szkół tego rodzaju, oraz technikom wykwalifikowanym w instytucyach zagranicznych z polską terminologią techniczną i warunkami wytwórczości. Dotąd wydano: „Podręcznik dla palaczy kotłowych“ Braussora i Sponratha, „Mechanikę doświadczalną“ Balla, „Zasady przędzenia wełny czesankowej“ Jakubowicza, „Słownik polsko-rosyjsko-niemiecki terminów garbarskich“ Przyszychowskiego, „Przewodnik dla maszynistów“ Scholla, „Podręcznik mechaniki dla średnich szkół technicznych i samouków“ Launsteina, a obecnie „Zasady magnetyzmu i elektryczności“ Jamiesona. W dalszym ciągu wychodzić będą inne, dotyczące rozmaitych gałęzi technologii. Ponieważ p. H. Wawelberg podjął to wydawnictwo nie w celach spekulacyjnych, lecz stanowi ono jedną z jego bezinteresownych ofiar dla dobra społecznego, więc cena wszystkich książek jest bardzo nizka. Dzięki szkole pp. Wawelberga i Rotwanda, dzięki temu wydawnictu spodziewać się u nas można postępu wiedzy technicznej i zarazem pomnożenia się sił krajowych w naszym przemyśle, tak przeładowanym jeszcze obcemi. Trzeba tylko wykształcić się w szkole i zaopatrzyć się w odpowiednie książki, które nam troskliwi o tę sprawę ludzie dali.

Zbiory po Gieysztorze.

Zmarły przed dwoma tygodniami zacnej pamięci księgarz, J. K. Gieysztor, zgromadził bardzo obfity zbiór starych lub rzadkich druków z literatury polskiej. Podał on ich spis w katalogach, które co pewien czas wydawał, zachęcając przytem możnych miłośników piśmiennictwa ojczystego do nabycia tego zbioru. Ale, niestety, my już dziś nie mamy Załuskich i Świdzinskich, a nasi panowie wolą zbogacać swoje stajnie, niż swoje biblioteki. Koń wlazł w ich mózgi i serca, a żłób i drabina tyle zajęły w nich miejsca, że nie pozostało nawet kąta na szafę z książkami. Pomimo to nie należy zaprzestać podnoszenia tej sprawy publicznie, gdyż może się znajdzie ktoś, kto kolekcyę po Gieysztorze nabędzie. Trudno zaś wymagać, ażeby rodzina, o ile nam wiadomo, nierozporządzająca wielkimi środami materyalnymi, więziła w antykwarni swój kapitał, który dla niej jeśli nie jest artykułem handlu, jest zbytkiem. Nieboszczyk, zapalony zbieracz, wysiłkiem podtrzymywał ten ciężar, dziś wszakże trzeba pomyśleć o sprzedaży. Nie wiemy, czy spadkobiercy poczynili już jakieś kroki w tym kierunku i czy znaleźli amatorów; niezależnie wszakże od nich zwracamy na ten przedmiot uwagę ogółu, pamiętając, jak gorąco odwoływał się do niej zmarły i jak on zasłużył sobie na to, ażeby o nim długo nie zapominano.

Polemika z szydłem.

P. Rostafiński zamieścił we *Wszechświecie* druzgocącą krytykę „Słownika nazwisk zoologicznych i botanicznych polskich“ E. Majewskiego. Profesor krakowski wykazuje, iż p. M. pomieszał gatunki z rodzajami, że wiele nazw podał błędnie lub umieścił niewłaściwie itd. Oskarżony przyznaje w swej odpowiedzi, iż mając do czynienia z tysiącami kartek, popełnił rzeczywiście i musiał popełnić omyłki, nieuchronne przy tego rodzaju drobiazgowej pracy; tłomaczy wszakże, że zadaniem jego nie była ścisła klasyfikacya nazw, ale zebranie surowego materyału. Cały ten spór miałby i poważną racyę i naukowy pożytek, gdyby z niego nie wylazło... szydło. Nie dość bowiem tego, że p. Rostafiński po za wytkniętymi błędami nie dojrzał ani okrucha rzeczywistej zasługi p. M. w mozolnem i dla idealnych celów podjętem przedsięwzięciu, ale nadto plunąwszy na jego „Słownik,“ zapowiedział, że wyda wkrótce własny, doskonały, po którym ludzie oblizywać będą palce. To pochwalenie pliszki własnego ogonka, który ma się dopiero ukazać, zanadto trąci reklamą i odsłania w polemice pobudki, niemające nic wspólnego z nauką. Bo dlaczegoż profesor krakowski przez tyle lat tłumił w sobie zgrozę i boleść, jaką mu sprawił „Słownik“ p. M. i dopiero teraz rzucił na niego piorun, gdy skończył swoją pracę? Byłoby, zdaje się, rzeczą prostszą i przyzwoitszą, spełnić obowiązek, jeżeli go się uznawało, zamiast wołać Mojżeszowym tonem: Nie miałem czasu i ochoty do „Słownika,“ ale ponieważ widzę, że go wydał jakiś partacz, więc ja wam pokażę, jak to zrobi Jowisz botaniki! Czekamy — a tymczasem uśmiechamy się z widoku... szydła.

Ochrona żyrardowska.

Korespondent *Gazety Polskiej*, p. E., podaje następujące znamienne szczegóły ze stosunków wychowawczo - zarobkowych w ochronie żyrardowskiej, która jest największym tego rodzaju zakładem w kraju, liczy bowiem 2½ tysiąca dziatwy, 20 nauczycielek - froblanek i 14 dozorczyń-szwaczek: „Kierunek tego zakładu spoczywa w rękach niefachowych. Pani przełożona, rodem z Prus, nie uwzględnia należycie ani potrzeb dzieci polskich, ani potrzeb personelu nauczycielskiego. W pięciu szkołach początkowych tej ludnej ochrony przypada po 120 dzieci na jedną nauczycielkę, stąd biedne wychowawczynie upadają pod ciężarem pracy dziesięciogodzinnej. Wszelkie prośby i reklamacye ze strony nauczycielek o powiększenie liczby wychowawczyń pani przełożona nietylko pozostawia bez odpowiedzi, lecz wydala więcej wycieńczone ciężką pracą, bez względu na kilkoletnie zasługi. Słyszeliśmy, że jedna z pokrzywdzonych występuje na drogę sądową.“ Do tej garstki szczegółów dodajmy inne, które mamy w rozporządzeniu. W ostatnich czasach nauczycielkom ochrony ujęto po 5 rs. płacy miesięcznej, a dodano natomiast po 20 dzieci. Prawdopodobnie takie „uznanie“ zasług pracownic upozorowano zmniejszeniem pracy... o pół godziny na dobę (właściwie zmniejszono o godzinę, ale na-

tomiast dodano z rana i w południe po 15 minut).

Z różnych źródeł od ludzi niezależnych, niezainteresowanych, a wiarogodnych napływają do nas coraz liczniejsze skargi, coraz obfitsze fakty, znamionujące gospodarkę w Żyrardowie. Tymczasem poprzestajemy na niniejszej notatce.

LITERATURA I SZTUKA.

JESZCZE O TWÓRCZOŚCI.

Twórczość pozostaje dotychczas nieprzeniknioną tajemnicą, tymczasem koło tej tajemnicy obraca się cała prawie literatura, sztuka i nauka.

Zmienność geniusza, jego kameleonowa natura jest tylko dowodem energicznej cerebracyi, ciągłego nieprzerwanego wzrostu. Jeszcze zwiędłe liście z tego drzewa nie opadły, a już świeże i młode z pod nich się wydobywają na świat. W tej zmienności jest jednak system. Kluczem do odcyfrowania tych często sprzecznych zagadek jest zwykle natura geniusza: ona jest wytorem odwiecznym, skamieniałością twardą, jak brylant. Oddzielne poglądy geniusza mogą się zmieniać, nawet często zmieniać, w miarę tego, jak przed jego okiem rozwierają się różne strony przedmiotów, często sprzecznych, ale pomimo to czujemy, iż ogólna budowa duchowa geniusza przez cały jego rozwój pozostaje niezmienną. Szybkość i energiczny wzrost jest źródłem ciągłych zmian myśli, ale wzrost ten odbywa się zwykle śród kilku określonych linij.

Tak np. kluczem do zrozumienia dzieł Ruskina może być tylko jego osobowość, która od dzieciństwa aż do starości pozostała w gruncie niezmienna. „Jeden z mych przyjaciół — pisze ten autor—wyrzuca mi ze smutkiem charakter niesystematyczny mojej *Forselavigera* i żąda on, żebym napisał wreszcie dzieło dobrze uporządkowane. Ale mógłby także żądać od brzozy, wyrastającej z szczeliny w skale, żeby ona naprzód ustanowiła kierunek swych gałęzi. Wiatry i potoki skierują je według swej dzikiej fantazyi; wszystko zaś, co drzewo ma i może zrobić, to rosnąć—wesoło, jeżeli zdoła, smutno, jeżeli radość jest niemożliwą, i niechaj rany i blizny pokrywają je tam, gdzie los tego zechce."

Podobieństwo między poetą a dzieckiem było oddawna i często wskazywane. Pochodzi ono, naszem zdaniem, stąd, iż proces wzrostu poety trwa bardzo długo, nieraz do późnej starości. A żywość i zmienność dziecka polega właśnie na procesie wzrostu. Poetom bogowie udzielili daru wiecznej młodości, a jeżeli tłum nie jest podobny do dzieci, to dlatego, iż wzrost jego bardzo szybko się zatrzymuje. Stają się on zbiorem bardzo poważnych, ponurych i nudnych pedantów. A w tej kameleonowej naturze poety, czyniącej zeń Goethowskiego Enforiona, który, jak błędny płomyk, unosi się nad szarem bagniskiem tłumu, stanowiąc prawdziwą jego duszę, pedanci chcieli upatrywać dowód wrzekomej niższości, czy też niedojrzałości wieszczów!

Zresztą zastrzegaliśmy się już kilkakrotnie*), iż pojęcie poety jest nadzwyczaj względne. Obejmuje ono typy najrozmaitsze, począwszy od największych geniuszów o myśli wszechstronnej i syntetycznej, a kończąc na zwykłych wierszokletach, posiadających tylko dar rytmu, barwy lub słowa. Otóż nie wszystkie typy antropologiczne ludzkości pierwotnej mogą być uważane za wyższe od obecnie istniejących. Jedno tylko nie ulega wątpliwości, iż gama tych typów była niegdyś daleko obszerniejszą, niż współczesnych: istniały tam i niższe i wyższe od tych ostatnich. Otóż społeczeństwo, w miarę swego rozwoju, uwalniało się stopniowo i od jednych i od drugich; wszystko, co było krańcowe i nie poddawało się pod normę ogólną, musiało zanikać. Jest więc rzeczą możliwą, iż niektóre typy poetów i artystów, jednostronne, niedołężne umysłowo, są niedobitkami typów antropologicznych nawet niższych od wielkiej masy obecnie istniejących. Dowodem, iż zdolności artystyczne są potężnie rozwinięte śród ptaków.

Osobiście jednak bylibyśmy raczej skłonni upatrywać w tych poetach mieszańców jednostronnych z typów jakichkolwiek, średnich i typu wyższego, który kapnął na nich złotem swej natury, udzielając im kilka swych centrów nerwowych lub jakiegoś organu zmysłów **). Geniusz zaś czysty jest niedobitkiem ras wyższych pierwotnych: jest to osobnik o niesłychanem skupieniu energii, która się wyraża w potędze czynu i myśli, towarzyszą jej nierozdzielnie piękno fizyczne i duchowe, tj. harmonia linii i ciała i jego przystosowań do świata zewnętrznego. Przysłowie greckie „kalos k'agathos" świadczy, iż w rasach czystych piękno zewnętrzne i wewnętrzne szło zawsze razem. Zresztą to ostatnie nie powinno być brane w znaczeniu moralnem. Ktoby za pomocą moralności chciał poprawiać geniusza, czyniłby na Grekach takie wrażenie, jakby Apollina Belwederskiego chciał upiększyć ubraniem go w spodnie. Piękno wewnętrzne ma u geniusza znaczenie tylko pewnej harmonii władz duchowych i niczego więcej. Szło ono w parze niegdyś z pięknem fizycznem. Później krzyżowanie bezładne wprowadziło w tę harmonię głęboki rozdźwięk. Ono to właśnie, zdaniem naszem, głównie przyczyniło się do wytwarzania talentów, a i w sprawie geniusza, w czasach nowożytnych, odgrywa rolę pierwszorzędną. Najwięksi poeci wszystkich krajów mają duszę skomplikowaną, duszę mieszańców. Krytyka oddawna już odróżnia w Shakespearze marzyciela Celta obok energicznego Anglo-Sasa. Toż samo powiedzieć można o największych poetach i artystach Anglii, jak: Rossetti, Morris, Ruskin itd. Najjaskrawszy jednak typ geniusza-mieszańca przedstawia Goethe, w którym łączyły się dwie rasy tak odrębne i wrogie, jak Faust i Mefisto: pierwszy dobry i sentymentalny, drugi zły i twardy. Nawiasem zauważymy, że gdyby iść za wskazówkami współczesnej antropologii, należałoby przedstawiać Fausta ciemnym, brunetem, natomiast Mefista jasnookim blondynem — wprost odwrotnie, niż to się w teatrze dzieje.

Dzieło Goethego niewątpliwie świadczy o wyższości rasowej Mefista, u którego Faust znajduje się wciąż na posługach. Zawsze Mefisto naprzód zbroi, przejawi swą złość, i dopiero potem pozwoli, aby dobroć Fausta się przejawiała, aby go szarpały zgryzoty. Faust jest typem stadnym, dobrym, Mefisto — złym, drapieżnym. Faust jest szeregowcem, Mefisto — wodzem. Dwie te osoby przez całe życie współistniały w Goethem, tocząc walkę zażartą, ale zły, ten, który wciąż się śmieje i jest wyższy nad wszelkie sytuacye i przesądy, chwyta wciąż dobrego za gardło i tylko gdy jego egoizm jest zaspokojony, pozwala z pogardą dobremu wystąpić na scenę i odegrać swą rolę, którą on naprzód przygotował.

(D. n.).

Dr. L. Winiarski.

*) Por. „Ideał i piękno," *Prawda* z r. b.

**) Por. „Geniusz i talent," *Prawda* z r. b.

JUBILEUSZ DUCHIŃSKIEJ.

W roku bieżącym kończy się 50-lecie pracy literackiej Seweryny Duchińskiej. Doskonale i obrazowo przedstawiła ona swą działalność w poniższym wierszu, zamieszczonym w *Kuryerze Codziennym*:

Moje pięćdziesięcioletnie pióro.

Słońce w poranku zaszło mi chmurą
W koło mrok ciemny i głuchy,
Jam w drżącą rękę podjęła pióro;
Pełna serdecznej otuchy.

O! nowy zawód! — szydercze słowo
Nawskróś mi serce przenika,
Ale mur twardy chcę przebić głową,
Zgłuszyć krakanie puszczyka.

I silnie trzymam pióro w mej dłoni,
A łza łzę w oku potrąca;
Wtem mi piosenka z cicha zadzwoni,
Jasna jak promyk miesiąca.

Co mi poszepnie, wnet pióro chwyta,
W duszy mi lekko i błogo,
I znów mi puszczyk smutny wróżbita,
Coś zaszeleści złowrogo.

„Nie tobie zbiegać powietrzne szlaki,
Strzeż się ułudnych mamideł,
Niech się nie mierzy z lotnemi ptaki,
Komu szerokich brak skrzydeł!"

I znów piosenka — tajemny dzwonek
Słodko się do mnie odzywa:
„Drobne ma skrzydła szary skowronek,
„A przecież woła do żniwa!

„I chwyta kosę kmiotek ubogi,
„I sierp podejmie niewiasta,
„A w polu rosną stogi i brogi,
„Chata w dostatek urasta!"

Ja za tą wróżbą idę wytrwale,
Starczą mi drobne poloty,
To się z kukułką smutno pożalę
Nad dolą biednej sieroty!

Gdy żar na ziemię spadnie z niebiosów,
I w proch przepali ją miałki,
Z polnym konikiem wśród zwiędłych wrzosów
Uderzę w śpiewne cymbałki.

A gdy wiatr wstrząśnie jodłowym lasem,
Kiedy zapadnie mrok czarny,
Drobnym wróblikom powtórzę czasem,
Lecz nigdy sowie cmentarnej!

*

Długie pół wieku mnie pieśń kołysze,
A pióro chwyta jej dźwięki;
Póki mnie woła, póki ją słyszę,
Nie puszczę pióra z mej ręki!

Niechby mi piorun z gradową chmurą
Przemknął nad głową tułaczą,
Jabym to biedne skruszyła pióro,
Gdyby zgrzytnęło rozpaczą,

Z niezłomną wolą, z sercem niezgasłem,
Wśród półwiekowej zawiei,
Jam życie przeszła pod świętem hasłem:
Wiary, miłości, nadziei!

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

HISTORYA LITERATURY. Antoni Mazanowski: „Przegląd najnowszych badań z historyi literatury polskiej" (1893—1896).

BADANIA LITERACKIE. Ig. Matuszewski: „Swoi i obcy" (512 str.), Gebethner i Wolff.

POEZYE. Nakładem G. Centnerszwera wyszedł dziesiąty tomik „Liry polskiej," ułożony przez Or—ota.

POWIEŚĆ. A. Dygasiński: „Złamane życie" (192 str.). Sikorski.

— W dalszym ciągu swych fantastyczno-naukowych opowieści znany archeolog-przyrodnik, p. E.

Majewski, wydał nową, obficie ilustrowaną p. t. „Profesor Przedpatopowicz,“ która ma za cel zaznajomienie czytelnika z paleontologią i geologią. Pomysł autora jest dobry, wplatanie suchych faktów wiedzy w żywy wątek przygód umiejętne, ale całość zyskałaby na większej treściwości. Dla młodzieży jednak książka to bardzo dobra.

DLA SIEROT. Pod tym tytułem grono Lubliniaków wydało książkę zbiorową, z której dochód przeznaczono na budowę domu dla „sali sierot“ w Lublinie. Są tu artykuły najrozmaitszej treści, między którymi wyróżnia się opowiadanie G. Dolińskiego w gwarze ludowej („Złe“), „Co to jest sugestya?“ przez J. Ochorowicza, o stanie rolnictwa gub. Lubelskiej w ostatnich 25 latach M. Dobrskiego, o własności ziemskiej tamże — H. Wiercieńskiego itd. Reformatorom naszego języka w pismach lekarskich, piszącym *oddechać*, *posełać*, polecamy notatkę prof. L. Malinowskiego w tej książce.

HUMORYSTYKA. Nakładem redakcyi *Muchy* wyszły „Drobiazgi,“ kartki ulotne, zebrane z pism humorystycznych K. Junoszy. Niektóre doskonałe. Ot np. recepta felczera: „Hycne sól Fury pół skrupuł Sahare albe Uncyje halbe Machen dy pulwis, na sześć proszki do środka jak Żymniucha ma trzęsić a prócz tego o Luja ryczy na i żele dla kobity.“ Albo rozmowa w hotelu na prowincyi: „Czy pan dobrodziej ma na sprzedanie pszenicę? — Nie, ja jestem komisantem handlowym. — Ny, ny, siulejm alajchem. . — Nie rozumiem. — To ja też nie rozumiem, jaki pan jesteś komisant handłowy, kiedy takie słowo nie rozumiesz.“

WYDAWNICTWO KOMITETU DAMSKIEGO przy warsz. Tow. opieki nad zwierzętami wypuściło następujące książeczki popularne: W. Umińskiego „Co człowiek zawdzięcza zwierzętom“ (30 str.), oraz „Zwierzęta ginące i zaginione“ (29 str.).

W TANIEM WYDAWNICTWIE dla dzieci i młodzieży wyszły książeczki: „Zbiorek poezyj T. Lenartowicza“ (53 str.) i „O W. Syrokomli“ (38 str.).

SŁOWNIK polsko niemiecki i niemiecko-polski, opracowany przez F. Konarskiego, A. Inlendera i A. Zippera zaczął wychodzić zeszytami u Perlesa w Wiedniu i Centnerszwera w Warszawie. Cena zeszytu k. 30.

ENCYKLOPEDYI POWSZECHNEJ, ilustrowanej wyszedł z. VI (Alpy)

WISŁY wyszedł zeszyt 3 tomu XI.

PRZEKŁADY. Czasopismo *Now. Słowo* zamieściło przekład „Listopada“ Andrzeja Niemojewskiego, *Świat* zaś fragment z tego cyklu p. t. „Pie-[illegible]“

KALENDARZE. Znany „Kalendarz Ungra“ wy-[illegible]

— Kalendarz humorystyczny *Kolców*, „Warszawianka,“ ukazał się w handlu.

SPRAWY EKONOMICZNE

DOBRA LEKCYA.

Nasi przemysłowcy nie pozbyli się zwyczajów epoki prastarej, rzemieślniczej, ani nałogów drobnego sklepikarza. Udając się do sklepu, możemy być pewni, że będziemy oszukani, że zamiast lepszego towaru wetkną nam w ręce gorszy lub dadzą dobry, lecz za to zedrą. Kupiec nie bierze pod uwagę tej prostej zasady, że byłoby lepiej dążyć do zapewnienia sobie możliwie szerokiego a stałego koła odbiorców i pobierania niewielkich zysków na pojedynczym okazie produktu, ale sprzedawania znacznej ilości towaru. I wytwórca swojski w większości przypadków postępuje nie inaczej: widzi on tylko pojedynczego odbiorcę i pragnąłby zarobić na nim jak najwięcej, niepomny, że takie postępowanie jedynie ścieśnia rynek.

Zwyczaje takie były w najzupełniejszej harmonii z warunkami produkcyi rzemieślniczej, oraz istniejącymi podówczas stosunkami w sferze wytwórczości. Rzemieślnik nie znał sprzedaży masowej, wzrok jego był przykuty do pojedynczych okazów, umysł zaś nie mógł zrozumieć, iż można zrobić majątek, sprzedając nizko, lecz w wielkiej ilości. Zresztą i ustawa cechowa, wyznaczająca taksy na towar, uniemożliwiała powzięcie takich pomysłów, i nawet gdyby jej nie było, wtedy rozmiary rynku stanęłyby na przeszkodzie, bo ograniczały koło odbiorców murami niewielkiego miasteczka. I kupiec, mający u siebie na składzie tylko cudzoziemskie towary, z tych samych powodów musiał sprzedawać drogo: okazów rozchodziło się niewiele. Trzeba było korzystać możliwie z każdego odbiorcy, ażeby proceder się opłacił i dał utrzymanie.

Obecny okres wielkiej produkcyi zmienił do szczętu takie ciasne, drobnomieszczańskie szranki *businessu*. Stworzył on wielkie miasta i tam zgromadził setki tysięcy i nawet miliony mieszkańców, co więcej, powiązawszy kraj za pomocą kolei i wydoskonaliwszy technikę komisową, rozszerzył jeszcze bardziej rynek odbiorców. Przemysłowiec, zamiast paruset, w najlepszym razie zaś kilku tysięcy nabywców, ma przed sobą dziesiątki tysięcy, niekiedy zaś setki. Konstytucya ekonomiczna rozwiązała mu zupełnie ręce i oswobodziła go od wszelkich taks i innych pęt staroczesnego porządku rzeczy. Współzawodnictwo, nie znające nad sobą żadnego hamulca, pozostawia mu tylko jeden środek, ażeby ubiedz współzawodników i zapewnić sobie odbiorców: sprzedawać tanio. Słowem, dążenia człowieka interesu, wobec takiego ukształtowania się stosunków, przybrały, bo przybrać musiały, zgoła inny charakter. Badając psychikę wielkich *byznesistów* w Stanach Zjednoczonych, tej rasy, do szpiku kości przesiąkniętej instynktami i poglądami epoki wielkoprzemysłowej, znaleźlibyśmy tam obrachunki, biorące pod uwagę tylko wielkie liczby. Przemysłowiec, za nim zaś kupiec, o ile pragną dorobić się majątku, opierają działalność swoją jedynie na wielkich cyfrach, pojedynczy okaz towaru przestał istnieć dla nich, bo zamiast tej jednostki doby rzemieślniczo-sklepikarskiej nastała rozleglejsza skala mierzenia. I takie dziecko naszego czasu bynajmniej nie poprzestaje na zdobyciu istniejącego rynku, lecz posuwa się o wiele dalej. Ono stwarza rynek, tj. usiłuje wywołać potrzeby nieistniejące i wzmocnić inne, niedostatecznie rozwinięte. Ażeby zaś tego dokonać, ma tylko jedną drogę — sprzedawać tanio, ale masowo.

Nasi przemysłowcy, zwłaszcza zaś pośrednicy, nie zrozumieli jeszcze ducha czasu, bo w każdej chwili poświęcą oni rozległy rynek dla niewielkiego koła odbiorców, drogo płacących za towar. Pomysły Amerykanów stwarzania potrzeb wydają się im tak dalece zamorskimi, tak bezmyślnymi poprostu, iż jako szaleńca traktowaliby tego, ktoby podniósł tę sprawę — naturalnie dopóty, póki nie zrobiłby na tem zastosowaniu mądrości wielkoprzemysłowej majątku. Chciwość zgarniania wielkich zysków na pojedynczym okazie towaru jest u nas tak nieograniczona, iż staje się przeszkodą dla rozwoju ekonomicznego, bo uniemożliwia rozszerzenie rynków. Istnieją w kraju pewne drzemiące jeszcze potrzeby, istnieje niewątpliwie pewne zapotrzebowanie zbytku — nie podzielam oburzenia ideologów drobnomieszczańskich na zbytek, lecz przeciwnie, pragnąłbym zrobić go zjawiskiem powszechnem i jak najprędzej widzieć służące w kapeluszach i rękawiczkach — lecz one nie mogą rozwinąć się, bo sklepikarska, średniowieczna taktyka kupców udaremnia ich dojrzewanie. Pospolity odbiorca nie ma nawet przybliżonego pojęcia, o ile ogniwa pośredniczące podnoszą cenę wytworów i jak powstrzymują rozrost sił wytwórczych w kraju i tamują działalność producentów, stanowiących w porównaniu z kupiectwem potęgę bardziej postępową.

Dla uzmysłowienia tych *faux frais* społecznych, tego wyzysku gromady przez pośredników, podamy kilka przykładów ze stosunków warszawskich.

Ktoś z moich znajomych posiada troskliwie prowadzony sad pod Warszawą. Sprzedawał on w r. 1895 pośrednikowi pud gruszek po 75 kop., ten zaś odstępował je pewnej powszechnie znanej w Warszawie firmie delikatesów. Przy bliższem zbadaniu okazało się, iż ów pośrednik sprzedawał owoc niezwłocznie, tj. nie narażając się na straty z powodu leżenia, po rs. 1 kop. 50, sklep zaś delikatesów otrzymywał za ten sam pud od odbiorców rs. 12, wyraźnie *dwanaście!* Ów ktoś wszedł więc w stosunki bezpośrednie ze wspomnianą firmą. Dzięki temu otrzymał w r. 1896 za pud gruszek już rs. 6, ale firma nie darowała tej podwyżki con odbiorcom i zaczęła owoc sprzedawać po rs. 20! Ta sama osoba dostarczała tej samej firmie truskawki po kop. 30 za funt. Sklep sprzedawał je po 3 rs. 60 kop. i, jak okazuje się z faktów, tego samego dnia, tj. nie nie tracąc, albo bardzo mało z powodu psucia się owocu. Właściciel sadu wszedł później w stosunki z restauracyą hotelową i tam dostawał za funt tego samego owocu kop. 90.

Przed dwoma laty zwróciłem się do jednej z firm przy ul. Senatorskiej z zamiarem kupna maszyny do pisania. Targowałem *type-writer* Remingtona. Zaceniono przeszło trzysta rubli. Znalazłszy się w kilka miesięcy później w Berlinie, zaszedłem do sklepu tych maszyn na Friedrichstrasse. Najnowszy system kosztował tam 420 marek, a ponieważ kurs rubla stał na 2,16, przeto wynosiło to zaledwie 200 rs., przyczem dawano mi bardzo dogodne warunki spłaty. Cło mogło podwyższyć cenę tylko o kilka rubli.

Istnieją przyrządy do porządkowania papierów, listów i notat, znane pod nazwą separatorów. Są one w świecie handlowym i przemysłowym warszawskim dość rozpowszechnione. Cena w sklepie wynosi trzy ruble. Takie same przyrządy kupuję w Berlinie w pierwszym lepszym składzie po 2,50 m., tj. 1,20 rs. Cło wynosi prawdopodobnie kilka kopiejek od sztuki.

Niektóre z książek moich kazałem oprawiać. Oprawa stu egzemplarzy „Antropologii“ wyniosła 15 kop. za egzemplarz, „Ludów“ — 25 kop. Naturalnie introligator nie tracił na tem, nawet nie targowałem się z nim. Postawił cenę odrazu. Taka sama oprawa na ozdobnych wydaniach książek kosztuje po kop. 50 i nawet 80!

Zjawiły się w sklepach delikatesów tak zwane „banany,“ ciastka robione z mąki bananowej i mające kształty tego owocu. Niektóre firmy nie chciały sprzedawać przysmaku na funty i żądają 5 kop. za sztukę. W Petersburgu — jest to wyrób rosyjski — można dostać sztukę za 3 kop.

Mógłbym znacznie pomnożyć liczbę tych przykładów. Świadczą one wymownie, ile pośrednik zarabia i na wytwórcy i na spożywcy i jak dalece powstrzymuje rozwój potrzeb. Tania i porządna oprawa sprawiłaby, że każdy chętniej nabyłby książkę oprawną, niska cena przyrządu do oddzielania listów przyczyniłaby się do rozpowszechnienia go itd. Lecz wobec wysokich cen ten i ów wyrzeka się przedmiotu, który nabyłby chętnie, gdyby żądania nie były tak wygórowane. Przyznam się, ten wyzysk mnie oburza zwłaszcza, gdy myślę o naszych stosunkach wydawniczych. Co do potrzeb literackich i wogóle artystycznych, jesteśmy narodem bardzo arystokratycznym, bo wydajemy książki tylko dla osób względnie bardzo zamożnych. Warstwy niższe traktujemy

jako gromadę dzieciaków, która nie jest zdolną pojąć wielkich mistrzów pióra i dla której ramoty spopularyzowano są jedynie odpowiednią strawą. Dzieła naszych powieściopisarzy, poetów, myślicieli kosztują tyle, że pod żadnym pozorem nie mogą liczyć na szeroki rynek. Wydawcy nasi obracali się w zaczarowanem kole, z którego wyjść nie umieli: koło odbiorców było nieznaczne, książka wyjątkowo mogła liczyć na kilka tysięcy nabywców, cena więc musiała być znaczna. Księgarz pragnął zarobić przynajmniej 50% i 100% na wydawnictwie i podnosił cenę, co znowu oddziaływało na rynek i jeszcze bardziej zmniejszało jego rozmiary. Doszło do tego, że w ostatnich czasach ruch wydawniczy, o ile nie przedrukowywał rzeczy już ogłoszonych, niemal zupełnie ustał. Widziano w tem dowód obojętności ogółu; zniżenia się potrzeb umysłowych, wówczas gdy zwężenie rynku jedynie wynikało z zubożenia kraju. Firmy wydawnicze nie mogły pojąć, że trzeba zdobyć się im na odwagę i śmiałym czynem rozbić to zaczarowane koło. Fakty dowodziły, że potrzeby istnieją i rynek czeka na towar. Czytelnie ludowe w Warszawie, tak świetnie rozwijające się, wykazały, iż istnieje bardzo znaczne zapotrzebowanie na pokarm umysłowy, rozejście się trylogii Sienkiewicza w tanim wydaniu także o tem świadczyło. Słowem, był rynek, tylko trzeba było trafić do niego. Firma S. Sikorskiego i S-ki zrozumiała położenie i przystąpiła do tanich wydawnictw. Powodzenie przewyższyło wszelkie nadzieje. Mówią, że pierwsze tomy, a więc utwory Słowackiego i „Tułacze" Kraszewskiego rozeszły się w 22 tysiącach egzemplarzy, że nawet książka względnie poważniejsza, Le Bona, doczekała się 16 tys. odbiorców! Cyfry powyższe słyszeliśmy przed kilku tygodniami, może są nieco niedokładne, ale nie o tyle, ażeby zniosły wartość moich wywodów. Sikorski za jednym zamachem stworzył rynek, tj. dowiódł, że istnieją u nas nawet na książkę szerokie koła odbiorców, byleby dano im dzieło, przedstawiające pewną treść lepszą i nie wyzyskano kieszeni.

Nie piszemy dytyrambów na cześć p. Sikorskiego. Wiemy, że nie myśl o pożytku publicznym przywodziła jego czynom, tylko chęć zrobienia majątku. Wolimy jednak rozsądnych i śmiałych geszefciarzy, aniżeli safandułów, którzy dobro publiczne mają ciągle na języku, lecz po za frazeologię nie wyszli. Spółka tanich wydawnictw zaś przyniosła pożytek niewątpliwy. Nietylko wprowadzi do społeczeństwa tanie książki, ale także zrewolucyonizowała faktycznie interes wydawniczy. Mówiłem o bibliotece Sikorskiego z kilku wydawcami. Zmiarkowałem, że potracili głowy. Sikorski zagraża im odebraniem nabywców, jeśli nie pójdą za jego przykładem i nie oprą obrachunku na wielkich cyfrach i niskiej cenie. Rezolutniejsi, którzy nie wierzyli w możliwość rozległego rynku na książki, zaczynają myśleć, iż i im należy wkroczyć na drogę taniości; trwożliwsi wprost nie wiedzą, co począć.

Kapitalizm nasz otrzymał lekcyę, która za morzem stała się nauką codzienną, u nas zaś jest czemś tak niezwykłem i wyjątkowem, że nawet nie zrozumiano jej doniosłości. Należałoby życzyć, ażeby przykład znalazł naśladowców nietylko śród świata księgarskiego, choć przyznać winniśmy, że w tym zawodzie czyn posiadał więcej widoków powodzenia, niż gdzieindziej. Księgarz jest zarazem wydawcą, tj. wytwórcą w ekonomicznem słowa znaczeniu, i pośrednikiem. Ten ostatni tamtemu nie staje na przeszkodzie. Tymczasem tam, gdzie producent musi oddawać wytwór swój kupcowi, warunki przewrotu są trudniejsze i nawet zupełnie nie istnieją. Pośrednictwo występuje z należytem obliczem: pęt, przeszkadzających rozwojowi ekonomicznemu.

K. R. Żywicki.

REFORMA ROLNA W GALICYI.

III.

Z opracowanym po akademicku programem wystąpiła szkoła krakowska. Dr. Dąmbski rozwinął go, wywodząc — w myśl znanych nam już idei — że należy zorganizować przymusowo średni stan włościański w Galicyi, dotąd bardzo cząstkowy, któryby pomnażałby się z góry, przez parcelacye większych obszarów, i z dołu, przez przystępowanie nowych jednostek. Dla tych gospodarstw żąda reformy prawa spadkowego w kierunku niepodzielności gruntów, dalej nowych norm taksacyjnych i kredytowych (przez zakładanie kas Reifeisenowskich dla kredytu drobnego i osobnej instytucyi na wzór pruskiego Rentenbanku dla parcelacyi).

Delegaci włościańscy oświadczyli się stanowczo przeciw zakazowi dzielenia gruntu. Trudno się krępować opinią ludu! — oświadczył wobec tego dr. Krzyżanowski. Ale poważni ekonomiści byli przeciw niepodzielności, tem bardziej, że nikt nie umiał zadawalająco odpowiedzieć na pytanie, co w wypadku przejścia własności na najstarszego (nieraz też najglupszego) z rodzeństwa począć z członkami familii, spadłymi z roli? Rzecz jest skomplikowana brakiem zarobków dla włościan skutkiem braku przemysłu w kraju, oraz zadłużeniem się właściciela dla spłaty reszty rodziny. Dr. Krzyżanowski doszedł też do wniosku, że się oświadczył za zakazem odłużenia pewnej części i za zakazem dzielenia gospodarstwa za życia. Prosta to droga do niewoli.

Przewodniczący konferencyi, marszałek hr. Badeni, streścił jej wyniki w następujących (podług dzienników) słowach:

Była powszechna zgoda, że zbyteczne rozdrabnianie własności przyniosło krajowi szkodę ekonomiczną; niezgodną była tylko opinia co do kwestyi, czy ustawy są tego powodem, czy i inne okoliczności. Wszyscy prawie mówcy zgodzili się na minimum parceli a nie posiadłości. Większość oświadczyła się przeciw ograniczeniu lub utrudnieniu kredytu mniejszej własności. Co do niepodzielności spadków, żądano jej na wypadek dziedziczenia beztestamentowego, przyczem silnie objawiło się ze strony włościan żądanie, aby wprzód przygotować grunt przez podniesienie oświaty, żeby ustawa wynikła już wprost z życia ludu. Co do parcelacyi, prawie wszyscy uznali ją za rzecz zdrową dla obu stron, a tylko co do rozmiarów zdania były podzielone: większość przeciw akcyi na wielką skalę. Wydział krajowy ma w obradach ankiety materyał, ale sprawy muszą być przetrawione, zanim dojrzeją do ustawodawczego traktowania.

Tyle — ankieta krajowa.

Przechodząc do krytycznego rozpatrywania wszystkich, jakie się dotąd pojawiły u nas, projektów reformy rolnej, trzeba im się przypatrywać ze stanowiska ekonomicznego i politycznego.

Przedewszystkiem faktem jest, że mała własność ziemska, która w Galicyi w rozpaczliwem jest położeniu, nie jest skazaną na wymarcie. „Przyznaję — mówił Karol Kautsky w Wrocławiu w r. 1895 — że co do szczegółów droga rozwoju w rolnictwie jest inną, niż w przemyśle, że np. w rolnictwie produkcya wielka nie posiada tej przewagi, co w przemyśle." Mała własność chłopska może być żywotną, szczególnie w Galicyi, gdzie wymagania życiowe nie są duże i gdzie chłop niezbyt odbiegł od typu gospodarstwa naturalnego. O żywotności tej formy gospodarczej świadczą też usiłowania, podjęte przez Bank włościański w Rosyi, parcelacyę wewnętrzną tak polską, jak i niemiecką w Prusach, ustawodawstwo krajowe w Meklemburg-Schwerinie; przyczynę małego powodzenia podobnych usiłowań w Anglii („Small holdingsact," 1892) trzeba kłaść na karb ujęcia tych reform za poźno, kiedy stan włościański był już doszczętnie prawie zniszczony. Galicya jest glebą bardzo wdzięczną, a ze względu na większą łatwość pomocnej interwencyi państwa w kierunku rolniczym, niż w przemysłowo-handlowym — bardzo podatną. Tylko tę pomoc państwa należy pojmować inaczej, niż czynią to młodzi konserwatyści krakowscy.

Ustawę, która jest tylko sformułowaniem stosunków i prądów życiowych już istniejących, czynią oni źródłem. W dziedzinie polityki ekonomicznej prowadzi to wprost nie do ekonomii, lecz wyłącznie do polityki.

Reforma rolna w Galicyi bez myśli dalej patrzącej nie da się urzeczywistnić. Z konieczności obejmuje ona cały splot stosunków, np. podatkowych. Dopóki chłop, mający jedną morgę pola, płaci od niego podatek w tym samym stosunku, co posiadacz fideikomisu, będzie pracował głównie dla egzekutora podatkowego. To samo odnosi się do kwestyi podatków pośrednich. Z konieczności obejmuje ona cały splot stosunków naszej oświaty, handlu i przemysłu. Dopóki chłop nie będzie miał po co wędrować do miasta, będzie musiał wędrować do Ameryki. Stan ten pogorszyłby się znacznie, gdyby zostało spełnionem żądanie konserwatystów co do niepodzielności gruntów; wzrastający proletaryat stworzyłby silniejszą znacznie falę emigracyjną i silniejszy ferment czysto polityczny. Dopóki analfabetyzm kwitnie w najlepsze, odpada najważniejszy czynnik gospodarczy: możność zaprowadzenia postępowej kultury rolniczej. Potrzeba wszechstronnego rozwoju intenzywnej pracy w kraju zaniedbanym wynika nietylko ze względu na fakt, iż chłop nie jest zjawiskiem, żyjącem po za prawem przyczynowości ogólnej; jest on też postulatem społecznym, gdyż macoszym byłby kraj, któryby się zajął jednostronnie poprawą bytu włościan, gdy lud miejski w równie ciężkiem położeniu ekonomicznem jest pogrążony. Węgry w swej polityce ekonomicznej kierowali się dotąd jedynie względem na dobro miast i magnatów. Galicya nie powinna wpaść w drugą ostateczność dla dobra jedynie wsi i magnatów. Samo rolnictwo, choćby dobrze rozwinięte, nie stworzyło jeszcze siły i cywilizacyi narodu; tworzy ją w nowoczesnych społeczeństwach tylko typ miejski.

Z programów, jakie w ostatnich czasach się wyłoniły, pozostają, jako najzdrowsze: stanienie kredytu i parcelacya. W jednym i drugim kierunku Galicya jeszcze pierwszych kroków nie zrobiła, mimo że czas już i że na przykładach z zagranicy nie zbywa. Akcyą zupełnie nową, najszerszej doniosłości byłaby parcelacya na wielką skalę przez kraj podjęta.

Leży ona w interesie tak wielkiej, jak i małej własności, w interesie pierwszej może najwięcej, dlatego prędzej lub poźniej do skutku przyjdzie. Tutaj spoczywa oczywiście niebezpieczeństwo jej polityczne. W Prusiech skarżono się w sejmie w r. 1895, że komisye rentowe tamtejsze forytują niesłychanie wielką własność przy oszacowaniu i nabywaniu jej dóbr; u nas sposobność do nadużyć jeszcze będzie większa. Drugą sposobnością będzie wybór włościan, mających się osiedlać na roli; już teraz zdarza się w kraju,

iż rozdawanie zapomóg rządowych, wyznaczanych po klęskach żywiołowych, jest nagrodą ze strony rządzących za dobre obyczaje podczas wyborów; parcele kolonizacyjne byłyby jeszcze odpowiedniejszym terenem dla hodowania serwilizmu i stańczykowstwa. Trzecią sposobnością jest chęć stworzenia klasy włościan ściśle politycznej, klasy posiadaczów średnich, z przeznaczeniem do odegrania roli „chłopów arystokratów,“ filarów konserwatyzmu, gdy właśnie najwięcej poparcia potrzebuje rolnik drobny lub chłop bezrolny, któremu kilku morgami można dopomódz do ludzkiej egzystencyi i do rychłej samoistności — nie robiąc go „glebae adscriptus.“

Reforma rolna mogłaby tedy w Galicyi przyjść do skutku jedynie pod uczciwą, demokratyczną kontrolą publiczną. Przestarzałe ustawy wyborcze sejmu, niepozostające w odpowiednim stosunku do ustaw wyborczych parlamentu centralnego, muszą wprzódy uledz demokratyzacyi.

Sprawa jest nagłą, reformy rolnej długo odwlec już nie można. Radykali ruscy nie na żarty zabierają się do organizowania w swoich okręgach bezroboci rolnych, w rodzaju tych, jakie przed kilku miesiącami wstrząsnęły Węgrami. Niedawno przykłady z Alföld, Sycylii, Irlandyi zbyt są wymowne.

W. Feldman.

O PRAWDĘ.

P. Hirszband nadesłał nam jeszcze następujące dopełnienie do zamieszczonego w poprzednim nr. *Prawdy* zestawienia:

Szanowny Panie Redaktorze!

Łaskawe okazanie czytelnikom *Prawdy* dowodów moich, uzasadniających zarzut, który uczyniłem artykułowi p. t. „Nowe kierunki“ (aczkolwiek daleki byłem od nadania temu zarzutowi formy pretensyi) — upoważnia mię, mniemam, do prośby o przyjście z pomocą czytelnikom szacownego pisma Pańskiego następującem, a już w pierwszym mym liście zawartem wyjaśnieniem:

1) Wszystkie prawie przytoczone przezemnie urywki (nr. 48 *Prawdy*) uważam za zapożyczone z *jednego* studyum mego p. t. „Galerya ostatnich dni.“

2) Urywki zapożyczone wyczerpują całą część rozumową artykułu „Nowe kierunki.“

3) Studyum moje specyalnym odsyłaczem prowadzi czytelnika do „Estetyki,“ drukowanej szkicowo w r. 1895 (w *Przeglądzie Pedag.*) — i z tej to właśnie pracy, a mianowicie z *jednej* jej stronicy, zawierającej *tezy*, wzięte zostały, według mnie, pozostałe urywki.

4) „Galerya ostatnich dni“ jako książka ukazała się w obiegu księgarskim w końcu sierpnia lub w początkach września r. b., jako studyum zaś (p. t. „Intenzywizm“) wcześniej jeszcze nieco w *Głosie* (nr. 34, 36).

W nadziei, że to samo wysokie poczucie słuszności, które skłoniło *Prawdę* do wydrukowania dowodów mych, skłoni Ją i do ogłoszenia niniejszego listu.

Pisze się z szacunkiem i poważaniem

Cezary Jellenta.

Na to wszystko p. J. K. odpowiada tak:

Każdy zapewne wie, że jeżeli się pisze o Warszawie, to trudno jest uniknąć wyrazu Warszawa, uniknąć wyjawienia jej cech charakterystycznych, naprzykład, że ma 600,000 mieszkańców, że leży na lewym brzegu Wisły, że posiada teatry, Ogród Saski, Łazienki, że jest miastem wielkiem i ożywionem, handlowem i jakiemś tam jeszcze. Trudno także, pisząc o tak charakterystycznym kierunku sztuki, jak obecny, nie zaznaczyć jego zrywania z wszelką tradycyą, jego namiętnej potęgi i fantastyczności, nie wspomnieć o głównych twórcach tego zwrotu, o Maeterlincku, Podkowińskim i innych. Wszystko to jest zupełnie zrozumiałem dla każdego śmiertelnika, tylko nie dla p. Jellenty, któremu zdało się, że ma wyłączny monopol odczuwania prądów współczesnych i który tak namiętnie raczył porównywać mój artykuł ze swoją książką, że aż moje zdanie „wiatr mroźny, przenikający do szpiku kości“ porównał ze swojemi nastrojami Maeterlincka, przenikającymi do szpiku kości, aż sobie przypisał mój pogląd o obrazach, w których myśl wypływa dopiero z obrazu jako wniosek, nie zaś jako z góry narzucone dowodzenie matematyczne, aż wmówił we mnie, że jestem zwolennikiem „kopania natury.“ co się najlepiej okaże z krytyki mojej o „Tragedyi kobiety,“ wiele, wiele jeszcze takich „lapsusów“ popełnił, które podziwiać mogliśmy w zeszłym nr. *Prawdy*.

Wszystko to wydaje mi się dość dziwnem, a cała ta napaść tak nieusprawiedliwioną, że aż cokolwiek brzydką.

J. K.

Posunąwszy naszą bezstronność do najdalszej granicy, spór w tym przedmiocie zamykamy.

W DALI.

Kowno. Pozwalamy sobie z korespondencyi *Gazety Polskiej* zaczerpnąć trochę ciekawych szczegółów, dotyczących wychodźtwa i ruchu ekonomicznego w gub. Kowieńskiej. Emigracya ludu wiejskiego nie zmniejsza się wcale. Nieliczne tylko wyjątki dążą jednak na wschód, w stronę Syberyi, większość zaś udaje się teraz do Afryki południowej, do ziemi Kapskiej. Do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej emigracya stąd niemal cała ustała, skutkiem złych wieści i trudności w dostaniu tam zarobku. Niekiedy tylko mała gromadka wyjeżdża do Kanady, gdzie się podobno emigrantom powodzi. Wogóle zubożenie wszędzie, w każdym niemal zakątku gubernii wyraźnie zauważyć się daje. Cena ziemi zniża się, a główny dochód z niej bez porównania stoi wyżej, niż np. w guberniach: Wileńskiej i Grodzieńskiej. Mianowicie gospodarstwa nabiałowe bardzo się rozwinęły w ciągu kilku lat ostatnich. Wszędzie się zawiązują spółki mleczarskie i większość dworów, a nawet niekiedy i bogatsi włościanie mają już separatory i gospodarstwo nabiałowe prowadzą sposobem postępowym. Na hodowlę też bydła baczną zwrócono uwagę. Obecnie coraz więcej rozpowszechnia się rasa holenderska, ostfryzów. Czy jednak ta rasa jest odpowiednią w miejscowych warunkach — dotąd nie rozstrzygnięto. Towarzystwo rolnicze w Rosieniach ma się zająć zbadaniem gruntowniejszem tej kwestyi. Wielu przypuszcza, że rasa miejscowa, żmudzka, przy dobrem i starannem utrzymywaniu dałaby może lepsze rezultaty, niż wszelkie inne rasy zagraniczne. Spółki zaliczkowo-wkładowe w powiecie Rosieńskim (ogólna ilość tych instytucyj w gubernii wynosi przeszło 30) niezbyt pomyślny żywot prowadzą, a sklep spożywczy akcyjny w Kielmach upadł i przeszedł obecnie na własność prywatną. „Jest to dość dziwny objaw—jak zaznacza korespondent — wobec ruchliwości i energii obywateli rzeczonego powiatu.“ — Mieszkańcy gubernii czynią obecnie starania o budowę dróg podjazdowych. Najenergiczniejsze zabiegi rozwinęło miasto Telsze, stanowiące jakby centralną stacyę przewozową całej okolicy. Przez to miasto bowiem przechodzi niemal co rok do Możejska, Popielan i Kurszan (stacyi kol. Libawsko-Romeńskiej) około 1,700,000 pudów różnego towaru; przywóz zaś wynosi 50,000 pud. Główny towar wywozowy stanowią różne gatunki zboża: owsa około 200,000 pudów, żyta i pszenicy około 300,000 pudów. Dalej idzie siemię i włókna lniane (przeszło 100,000 pudów), owoce (15,000 pudów) itd. Oprócz tego, materyałów leśnych wywozi się przeszło 800,000 pud., mięsa około 30,000 pud. i szczeciny około 20,000 pud. Wobec tak licznych i rozmaitych transportów, budowa bocznicy kolejowej jest dla mieszkańców tamtejszych rzeczą nadzwyczaj pożądaną. Z gub. Kowieńskiej przez lądowe komory celne wychodzi ogółem towarów na sumę 9,000,000 rubli, przywóz zaś wynosi wartość około 800—700 tysięcy rs. Z przywozowych artykułów śledzie stanowią najważniejszy przedmiot. Co zaś do wywozu, to oprócz zboża i drzewa, idzie też sporo z gub. Kowieńskiej włókna i siemienia lnianego. W r. 1895 drogą Lib.-Romeńską przewieziono za granicę 894,966 pud. włókna i 795,493 pudy siemienia, drogą zaś Warsz.-Petersburską — 20,000 pud. włókna i około 50,000 pud. siemienia. Uprawa lnu jest najbardziej rozpowszechniona w pow. Poniewieskim. — Kowno będzie miało wkrótce muzeum archeologiczne. Zbieracz starożytności, p. Gołdyszkin, pułkownik, ofiarował miastu przeszło 1,000 sztuk rozmaitych wykopalisk z okolic Kowna.

KRONIKA.

Wyjaśnienie. Artykuł, zamieszczony w poprzednim nr. *Prawdy* p. t. „Życie studenckie i ideały,“ wywołał wyjaśnienie, które w dodatniem świetle przedstawia młodzież naszą, kształcącą się i wykształconą w politechnice ryskiej. Spieszymy z radością zaznaczyć ten fakt. Obfity i wiarogodny materyał daje nam możność wrócenia do sprawy już poruszonej i rozwinięcia jej w numerze następnym.

Wiadomości społeczne. Departament poczt i telegrafów przystąpił do zbadania warunków służby urzędników pocztowych, gdyż zamierza powiększyć ich uposażenie.

— Pensye lekarzy wojskowych zamierzono podwyższyć o 40%.

— Stowarzyszenie Polaków w Hamburgu założyło świeżo czytelnię własną p. n. „Kłosy,“ a zarazem ognisko, w którem zbierają się rodacy nasi, zamieszkali w tem mieście.

— *Peterb. Wied.* podają następujące uwagi o znamiennych stosunkach rolnych w niektórych miejscowościach naszego kraju: „W guberniach wschodnich Królestwa Polskiego z ludnością mieszaną obowiązują ograniczenia, pozbawiające część włościan miejscowych praw do kupna własności ziemskiej. W art. 1 przepisów Banku włościańskiego powiedziano, iż z praw tych korzystają wszyscy mieszkańcy gmin, kolonij i mieszczanie-rolnicy. Instrukcya zaś dla komisarzy zabrania włościanom i mieszczanom — Polakom i Litwinom — nabywać grunty w miejscowościach zamieszkanych także przez Rosyan. Wyjątek stanowią włościanie, posiadający służebności.“ *Peterb. Wied.* zwracają uwagę, iż powyższe ograniczenia mają przedewszystkiem ten skutek, że w kraju wzmaga się kolonizacya niemiecka, tem bardziej anormalna, iż koloniści-Niemcy korzystają ze wszystkich praw. „Niemiec, przyjąwszy poddaństwo rosyjskie, ma zupełną swobodę rozwoju swojej narodowości, w zakresie religii, szkoły, gospodarstwa. To też gdy na koloniach Niemców wszędzie spotkać można grunty starannie uprawione, dorodne bydło, kasę, szkoły, książki, kościół, stowarzyszenia itd., śród włościan autochtonów widzimy biedę, gnuśność, niemoc i ciemnotę.“ Zdaniem organu powyższego, kolonizacya niemiecka z tych samych przyczyn szerzy się i w kraju zachodnim, gdzie „włościanie-katolicy mogą nabywać grunty tylko do pewnego *maximum* przestrzeni, oznaczonego na rodzinę.“ „To też gdy własność niemiecka kwitnie śród włościan polskich, litewskich, białoruskich itd., włościanie miejscowi pod wpływem okoliczności nieprzyjaznych wędrują za ocean, na Kaukaz lub Syberyę.“

Szkoły. Ministeryum oświaty wydało rozporządzenie, ażeby do sześciu przedmiotów egzaminów półrocznych na wydziałach historyczno-filologicznych w uniwersytetach dodany był jeszcze egzamin z historyi powszechnej: wieków średnich i nowożytnych.

— Ministeryum oświaty wydało następujące orzeczenie w przedmiocie egzaminowania młodzieży postronnej z kursu gimnazyalnego bez języków starożytnych. Młodzież, składająca świadectwo z ukończenia 6 klas gimnazyalnych, wolna jest od egzaminu z kursu 6-klasowego i tylko zdaje egzamin

z kursu dwóch klas najwyższych, bez języków starożytnych. Młodzież zaś, składająca świadectwo z ukończenia czterech klas gimnazyum lub świadectwo, iż zdała egzamin z kursu 4-letniego, wolna jest od egzaminu z geografii i tylko podczas egzaminu z historyi ma wykazać znajomość geografii w związku z historyą. Egzaminy tej kategoryi mogą się odbywać jedynie w tych miastach, które nie posiadają szkół realnych.

Wystawy i zjazdy. Z inicyatywy Towarzystwa rolniczego w Mińsku i zgodnie z uchwałą tegorocznego zjazdu rolników w Kijowie, odbędzie się r. p. zjazd wszechpaństwowy w sprawie obowiązkowego ubezpieczenia bydła od wszelkich wypadków nieszczęśliwych.

Prasa. *Praw. Wiest.* ogłasza rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych z d. 27 z. m., na mocy którego gazety: *Mirowyja Otgołoski*, *Narod*, *Syn Otiecz.* i *Petersb. Ztng* zostały pozbawione prawa umieszczania ogłoszeń prywatnych, a *Russkij Listok* prawa sprzedaży egzemplarzy pojedynczych.

Przemysł i handel. Za kilka dni rozpocznie się w ministeryum skarbu pod przewodnictwem dyrektora departamentu handlu i rękodzieł, p. Kowalewskiego, narada w sprawie zniżenia cła od nawozów sztucznych. Oprócz urzędników ministeryum skarbu i rolnictwa, wezmą udział przedstawiciele przemysłu i handlu, delegaci komitetów giełdowych: ryskiego, rewelskiego i warszawskiego, wreszcie właściciele ziemscy. Z naszych rolników są wezwani pp: Tadeusz Kowalski, Stanisław Dzierzbicki i Wojciech Wyganowski.

— Dziś rozpoczyna w Petersburgu posiedzenia tegoroczne rada rolnicza. Na porządku dziennym stoją między innemi sprawy ważne: 1) prawa wodnego dla potrzeb rolnictwa i 2) wykształcenia rolniczego pośród naszych włościan. Członkami rady są pp: Feliks hr. Czacki i Eustachy Dobiecki, którzy z tego powodu wyjechali do Petersburga.

— Zaprojektowano bicie trzyrublowej monety złotej.

— Ministeryum rolnictwa zwróciło uwagę na potrzebę sprowadzenia z Danii i Szwecyi specyalistów-instruktorów, którzy mają rozwinąć produkcyę mleka i serów, tudzież założyć szkołę mleczarsko-serowarską, celem przysposabiania instruktorów miejscowych.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu A. B. List Pański w przedmiocie zarzutu prof. St., uczynionego p. C. J., nie drukujemy, gdyż nie chcemy rozszerzać sporu nową sprawą, niemającą z nim bezpośredniego związku.

Panu Hermanowi M. w Zurichu. Adresu p. D. nie znamy, gdyż nie wrócił jeszcze z podróży.

Panu Wł. Ż. Nie jest to jeszcze utwór artystyczny, ale szkicowa notatka, wystarczająca tylko dla autora.

Matce. Dobrych chęci i zacnych uczuć dużo, talentu — nie.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 21 Ноября 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.